

CHŁÓD MEGO
SERCA

(Reflections for the Winter
of My Soul)

Przełożył
Ryszard BOROS

Nie było wątpliwości — mężczyzna ten umierał; tłum gapiów przerzedził się i pozostali tylko ciekawi, bądź ci, których fascynował widok śmierci. Żaden człowiek nie mógłby przeżyć tak okrutnej rany. Dziwne, że parobek nie wyzionął jeszcze ducha.

Na zewnątrz zamieć śnieżna wzmagala się z upływem czasu. Z furją krystaliczno-białych wichur smagał grube, kamienne mury i szalał w mrocznych korytarzach, podrywając spłowiałe arrasę. Chłód przenikał nawet do komnat pałacu. Zebrany tam w kręgu tłum, śledził uważnie śmiertelne spazmy ciała broczącego krwią.

Był to jeden z niższej służby — stajenny.

Burza śnieżna nadeszła o zmroku. Kiedy słońce ginęło za horyzontem, zerwał się zachodni wiatr. Impet żywiołu zaskoczył ludzi. Zdwoili wysiłki, żeby czym prędzej uchronić zwierzęta i narzędzia. Ktoś pozostał w tyle, aby wykonać jakieś polecenie. Prawie nikt nie usłyszał pełnego trwogi okrzyku. Paru z nich, przedzierając się przez ciemność i zapierający dech wichur, dotarło do ciemnej sylwetki pogrążonej w zaspie. W panicznym pośpiechu wnieśli skrwawione ciało do pałacu. Nikt nie chciałby spotkać tego, kto tak barbarzyńsko potraktował stajennego i zniknął nie zauważony wśród zamieci.

Ranny leżał na kamiennej posadzce w pobliżu ognia, z głową na pospiesznie skleconym podglówku. Wybałuszone oczy zastęły w przerażeniu, a z kącików ust sączył się strumyczek krwi. Skóra na szyi i klatce piersiowej była zdarta. Rany na ramieniu wskazywały na to, że nieustraszone kły zmierzały wprost do gardła. Nie osiągnęły celu tylko dzięki osłonie z grubego futra. Od chwili śmiertelnego okrzyku umierający nie wydobył z siebie słowa. Nawet jeśli minąłby stan szoku — nie mógłby mówić ze względu na rany odniesione na szyi. Krew broczyła obficie poprzez strzępy bandaży i krzepła na kamieniach. Posłano po medyka — nie można było znaleźć nadwornego maga i astrologa, być może nie chciał sobie zadawać trudu. Doskonale wiedział, że nie ma dla rannego ratunku. Dla zachowania pozorów wykonał niezbędne czynności uchroniające przed natychmiastową śmiercią.

Raz zakrzuszył się i równocześnie jego ciałem wstrząsnął śmiertelny spazm. Medyk, popatrzawszy na bezwładne ciało, uniósł nieco powiekę leżącego i wzruszył ramionami.

— Już po wszystkim — dodał.

Zebrani byli rozczarowani — pragnęli bowiem dowiedzieć się czegoś o napastniku. Popadli w przygnębienie. Dręczył ich nie-

pokój; niektórzy zaczęli rozprawiać zbyt głośno. Ci też doszli do wniosku, że sprawcą śmierci mógł być wilk lub ryś. Innych trapiły czarne myśli, znali bowiem mrozące krew w żyłach legendy Marsarovji.

Nagle, pełen grozy widok przykuł ich do miejsc: ciało drgnęło i usiadło, podpierając się rękoma. Z pianą na ustach, tocząc wokół ślepyimi oczami, usiłował coś powiedzieć.

– Śmierć! Widzę go! Tam... pośród zamieci... czyha na nas wszystkich! – wykrztusił ten, który już więcej nie miał mówić.

– Śmierć nadchodzi! Człowiek... ale nie człowiek! Biada nam! – umilkł, zachwiał się i legł na kamieniach.

– Widocznie jeszcze żył – zauważył medyk, ale sam nie był o tym przekonany do końca.

I

JEŹDZIEC WŚRÓD ZAMIECI

Kane musiał pogodzić się z myślą, że zabłądził. Przeszło godzinę poruszał się nie wiedząc, w jakim kierunku. Spinał konia, klnąc, że znalazł się na takim odludziu. Takiej burzy śnieżnej jeszcze nie widział. Jego koń, chociaż był rasy północnej, padał z wycieńczenia. Kilka dni nieprzerwanej walki o życie mocno nadwątliły jego siły, a do tego ta niesamowita zamieć. Kane rozmyślał. Nie mógł oprzeć się przenikającemu go do szpiku kości zimnu, które towarzyszyło mu, odkąd zerwał się lodowaty wiatr. Zdawał się on smagać poprzez grube futro jego duszę. Opierał się jego sile, wiedząc, że będzie zgubiony, jeśli się zatrzyma. A poza tym musiał za wszelką cenę utrzymać odległość, jaka dzieliła go od jego prześladowców. Deptali mu wytrwale po piętach, nie dając się zmylić żadnym fortelem, których Kane znał przecież wiele i po mistrzowsku zastosował. Korzystali bowiem z pomocy maga Sataki. Jego moc pozwalała tropić ślad, którego żaden śmiertelnik nie był w stanie dostrzec. Od południa wielokrotnie dostrzegał ich sylwetki. Gdyby nie zamieć – na pewno dopadliby go przed zmierzchem. Była ona dla niego wybawieniem, ale ścigający byli zbyt przebiegli i nie dali się zbić z tropu. Czas działał na jego korzyść. Wciąż pałał żądzą odwetu.

Gdy jechał pochylony w siodle w nieznanym sobie kierunku, poczuł, jak zawisło nad nim widmo białej śmierci, wydłużając koszmarną listę zagrażających mu niebezpieczeństw.

Księstwo Rader leżało wiele mil stąd na południowy wschód. Niegdyś było najbardziej wysuniętą na północ prowincją starego Cesarstwa Serrantonu. Kiedy wygasła dynastia Halbros — Seranton, Cesarstwo rozpadło się, a księstwo usamodzielniało, wpadając tym samym w regres. Bowiernie wybuchające wojny dynastyczne wyczerpały siły państw środkowych, niweczając ich dawną świetność. Rader zostało odcięte od ludów południa i od tego czasu szerzyła się tu przemoc. Prawem kaduka usiłowano zaprowadzić porządek; w ciągu minionego wieku u steru rządów stawali coraz to nowi ludzie. Jeżeli w ogóle w odniesieniu do Rader można było mówić o rządach. Ziemia ta bowiem nie była ani żyzna, ani nie posiadała bogactw; przypominało to raczej paradę małych baronów, rozbójników, czy też błędnych rycerzy.

Do niedawna władzę sprawował powszechnie znienawidzony banita Orted Ak-Ceddi, były herszt bandy rabusiów, który ogłosił się Prorokiem Sataki. Za jego rządów fanatyczny kult Sataki został wyprowadzony z podziemi i niczym czerwona fala rozprzestrzenił się w rejonie Puszczy Shapeli. Wierne mu legiony szerzyły terror, stając się zagrożeniem nawet dla południowych monarchii. W końcu, jego hegemonia upadła, a sam Orted ledwo uszedł z życiem, uciekając wraz z najwierniejszymi kompanami. Musiał zrezygnować z planu Czarnej Krucjaty. Poczul się bezpiecznie dopiero na odludziu w Rader, gdzie osiadł na stałe, przekonany o nietrwałości szczęścia i sławy.

Kane przybył do Rader pewnej nocy. Tu zaciągnął się do kawalerii jako generał, stając się podporą sił Proroka. On stworzył armię Czarnej Krucjaty i ostatecznie — przyczynił się do jej klęski: jako pierwszy złamał Miecz Sataki, chociaż dopiero nieobliczalne zachowanie Orteda spowodowało klęskę. Orteda nie spotkał straszny los jego zwolenników, ale Kane znalazł się w niebezpieczeństwie i aby nie dostać się do niewoli zwycięskiej armii Jervy, schronił się w pogańskiej jaskini, przeklętej Grocie Yslsl. Niewypowiedziane cierpienia, jakich doznał w jej kosmicznych otchłaniach i koszmar przemieszczeń w czasie, były tak zabójcze dla jego duszy, że wołałby tortury i śmierć z ręki wroga. Ale Kane dokonał tego, co nie udało się żadnemu ze śmiertelnych: odnalazł korytarz prowadzący na powierzchnię i wy dostał się na światło dzienne. Ponad rok odzyskiwał siły, a potem wyruszył, aby się zemścić na Proroku — za mroźące krew w żyłach tajemnice świata, które poznał w jaskini.

Droga do Rader była trudna i kręta, niełatwa do przebycia, zaprowadziła go bowiem z jednego krańca znanego wówczas świata na drugi. Wędrując, odkrył w sobie upór, którego nie był świadom.

Wreszcie, cztery lata po rzezi Sataków nad Ingoldi, Orted Ak-Ceddi znalazł się sam na sam z Kane'm w swojej komnacie. Pojedynek był śmieszny i z powodu przewagi Kane'a zakończył się prędko; zwycięzca wcisnął w ranę Orteda dziwny kryształ, podobny kształtem do gemmy. W rzeczywistości, była to zakrzepła grudka mocnej trucizny z wymarłego już robaka Carsultyal. Przy kontakcie z ciałem rozpuściła się, przeniknęła wszystkie tkanki, wżarła się w najcieńsze i najgłębsze nerwy. Kane'owi sprawił przyjemność widok ciała wijącego się w niezwykłych konwulsjach. Żałował, iż nie mógł oglądać przedśmiertnych drgawek Orteda, bo wierna Prorokowi służba usiłowała już wyłamać drzwi.

Uciekł z komnaty tym samym podziemnym korytarzem, którym przybył — biada Prorokowi, który nie zdążył wybadać tajemnic swojego sanktuarium. Zanim ktokolwiek się zorientował, był już poza obrębem miasta. Od tej nocy niezmordowanie posuwał się w kierunku północnych pustkowi. Wiedział, że pogoń składa się z najwierniejszych fanatyków Orteda, którzy do ostatniego tchu ścigać będą świętokradczą dłoń, winną śmierci ich pana. Przez wiele dni zacięci wyznawcy wygasającego już kultu, posługując się magiczną wiedzą, tropili z uporem swą ofiarę. W końcu znalazł się w ich polu widzenia. Wtedy zamieć dała mu chwilę wytchnienia.

Koń potknął się o przysypany korzeń, przyklękając na przednich nogach. Kane zachwiał się w siodle, dopiero teraz spostrzegając śnieg na swoim odzieniu. Zsiadł, szcękając zębami i pomógł wstać wyczerpanej klaczy. Każdy ruch przyprawiał go o ból. Zatoczył się, bo odmrożone nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Chwycił się grzywy konia, aby zachować równowagę. Zwierzę parsknęło, obarczone znieczeka ciężarem jego ciała.

— Spokojnie — wycedził, gładząc zlodowaciałą grzywę. — Dam ci trochę odpocząć. — Tylko chwilę — szeptał do siebie, tupiąc nogami i z trudem strząsając grudki lodu z odzieży. Zaspasy śniegu wydały mu się miękkie niczym pośłanie, lecz oparł się tej pokusie. Nie podda się tak łatwo. Igrał ze śmiercią wiele razy i jeśli było mu pisane zginąć w tej zamieci, wróg musi wpieryw poznać siłę jego miecza. Gdy pomyślał, że nie zdoła oprzeć się żywiołowi, ogarnęła go pasja. Wzywająco patrzył na szalejący wichur, któremu nie mógł stawić czoła. Jego nieosiągalnym wrogiem była kosmiczna jaźń, która igrała, obejmując go, by zamknąć na wieki w swych zimnych splotach. Przerząła go świadomość swej małości.

Jednego był pewien: nie miał do czynienia z pospolitą zamiecią. Zapuszczał się już daleko na północ i nigdy nie spotkał tak

gwałtownego i potężnego wybuchu sił natury. Impet żywiołu wskazywał raczej, że to sprawka czarnoksiężnika. Komu jednak mogło zależeć na wywołaniu burzy na tym odludziu, tego nie mógł odgadnąć. Z pewnością, nie były to moce Sataki, działała bowiem na ich niekorzyść. Koń zadrzał trwożliwie. Kane postanowił nie zwlekać dłużej. Dosiadł rumaka, który ruszył raptownie. Usiłował go uspokoić, sądząc, że zdenerwował go zbyt gwałtownym skokiem. Koń jednak był zdjęty przerażeniem: nozdrza miał rozchylone, a w ślepiach malował mu się strach. Niebawem jeździec także wyczuł utkwione w sobie badawcze spojrzenie jakiejś tajemniczej istoty. Popuścił cugli, a koń niczym strzała pogalopował przez zamieć. Przez wypełnione grozą długie chwile wydawało mu się, że jest ścigany przez jakąś bestię, napastującą go z niezwykle zaciekłością, potem wrażenie minęło. Zwolnił bieg konia i zaniechał karkołomnej ucieczki, dopiero gdy poczuł się bezpieczny. — Na Temro, co to mogło być! — Z początku sądził, że to pogoń właśnie go dopadła, ale reakcja wierzchowca i jego własne przecucia świadczyły o czymś innym. Wycie wichru skutecznie tłumilo wszelkie odgłosy, a zamieć ograniczała widoczność. Nie mógł więc niczego usłyszeć ani zobaczyć. Jednak zarówno jeździec jak i koń zwietrzyli czyjąś obecność, a Kane nigdy nie lekcewał głosu intuicji. Dlatego miał pewność, że przerażająca istota, odległa może o sążeń, godziła w jego życie.

Wyteżył zmysły. Rumak, wyczerpany karkołomnym biegiem, brnął powoli przez narastające zasy. Przez dłuższy czas nic nie zwróciło jego uwagi. Nagle skowyt dobiegł jego uszu, a nie było to wycie wiatru. Odetchnął głęboko mroźnym powietrzem. Wiatr niósł ze sobą charakterystyczny zapach wilka. Zwietrzył go także koń, parskając niespokojnie. Kane zatrzymał się.

Skowyt stał się donioślejszy i wykazywał obecność stada. Wyraźnie zalatywało nieprzyjemnym zapachem przemoczonej wilczej sierści. Gdzieś nieopodal — trudno określić jak daleko — grasowała sfora. Przewlekłe wycie typowe było dla wygłodniałych zwierząt — ale jak w takiej zamieci znaleźć pożywienie. Być może w poszukiwaniu zwierzyny zapuściły się zbyt daleko — zastanawiał się Kane. W takim razie miał cholerne szczęście, że znajdował się po zawietrznej. Sytuacja mogła jednak ulec zmianie wraz z kierunkiem wiatru. Kto wie, czy właśnie nie zawracał — myślał z roztargnieniem, straciwszy wszelką orientację. Każdy kierunek był dla niego równie dobry, co bezcelowy. Kiedy brnął przez zasy, potężny huk wiatru stopniowo zagłuszał skowyt zwierząt. Gdy ten ostatni urwał się, Kane odniósł wrażenie, że dochodzą go ludzkie okrzyki i rżenie koni. Były

jednak stłumione i nie był ich pewien. Ogarniało go zmęczenie i z trudem odróżniał rzeczywistość od wytworu własnej wyobraźni.

Koń włókł się uparcie naprzód, potykając się coraz częściej, ale nie tracąc równowagi. Kane wątpił, aby klacz zdolna była podnieść się po ewentualnym upadku, a nawet jeśli tak, to z pewnością on nie zdołałby jej dosiąść. Czas i miejsce straciły dlań znaczenie. Jeździec i koń dryfowali w szalejącej zamieci, pozbawieni poczucia otaczającej ich rzeczywistości. Kane nie wiedział, czy porusza się on, czy ściana śniegu. Przed oczami majaczyły mu na przemian: to białe plamy, rozdzierające ciemności, to znów czarne pręgi na tle białej pustyni. Jego ciało było prawie całkowicie zdrętwiałe. Wkrótce nie będzie w stanie wyczuć, że siedzi na koniu. Pochłonięty przez lodowaty wir, Kane kołysać się będzie w siodle bez nadziei ratunku. I tak już na wieki.

Nagle coś uderzyło go w twarz. Kane zamachnął się niepewnie, by odeprzeć cios. Odrętwiałą dłonią wyczuł gałęzie. Smagały go wciąż, gdy koń z trudem przedzierał się wśród drzew.

Usiłował przezwyciężyć ośpienie, zbierając resztę swej nieprzeciętnej siły. Koń zaprowadził go do lasu, a więc mógł nie tracić nadziei. Wydawało się to nieprawdopodobne, gdyż jak okiem sięgnąć, nigdzie nie było nawet samotnej sosny, zanim rozszała się burza śnieżna. Skąd mógł jednak wiedzieć, jak daleko zaniósł go wierzchowiec. Wycie wiatru złagodniało, a jego porywy zostały powstrzymane przez drzewa. Płatki śniegu opadały miękko, wirując wśród gałęzi. Dookoła noc rozpościerała ciemności, ale wyostrzony wzrok Kane'a pozwalał mu orientować się nawet tam, gdzie zwykły człowiek zdany byłby na łaskę losu.

Była to w istocie puszcza, gdyż gdziekolwiek nie spojrzął, ze wszystkich stron otaczały go drzewa. Las musiał pokrywać po-każny obszar, skoro udzielał tak skutecznej ochrony przed nawałnicą. Kane skierował kuśtykającą klacz w głąb tego schronienia. Może uda mu się znaleźć dogodne miejsce, gdzie mógłby zbudować szałas, a wtedy postara się rozpalić ogień.

Powiew wiatru przyniósł ze sobą zapach płonącego drewna. Poczul go i skierował się ku jego źródłu. Zastanawiał się, czy jego prześladowcy także dotarli do lasu, czy też spotka innych ludzi w tych dzikich okolicach. Pelen nadziei podążył za zapachem dymu. Jeżeli natrafi na obcych, chcąc nie chcąc przyłączy się do nich. Jeżeli będą to Satakowie... No więc dobrze, zbyt długo już na mnie polowali. Kane uwolnił od lodu przymarznięty do pochwy miecz. Przynajmniej ogrzeje się wtedy żelazo. Na

pewno nie spodziewają się ataku, a działając przez zaskoczenie... Jeśli tylko nie jest mu pisane zginąć z wycieńczenia w tej zamieci.

Przed oczami majaczyły mu obrazy rzezi, gdy kierując się węchem podążał wśród drzew, które brał za żołądków. Ziemia wznosiła się nieco — zauważył, ożywiony nadzieją na bliskie schronienie, ale także rozbudzony żądzą mordy. Spiał konia, który mógł runąć w każdej chwili. Zwierzę także zwietrzyło schronienie i wyteżyło siły.

Las przerzedził się, aż ustąpił miejsca polaniu. Kiedy Kane minął ostatnie konary, roztoczył się przed nim widok małego zamku, czy też magnackiej posiadłości otoczonej murem, wokół której skupiały się niewielkie zabudowania. Budynki rysowały się tajemniczo; na tle nawałnicy ciemne kontury śmiały się zza przysłoniętych okien smugą światła. Kane zdesperowany zwrócił konia na przelaj mroźnej polany ku nieznannej budowli. Niech nawet będzie zamieszkała przez upiory — nie zważał na to, o ile będzie mógł się ogrzać. Znalazłszy się u bramy, krzyknął ochryplym głosem. Ogarnęła go rozpacz, kiedy zrozumiał, że straż odzwrotna nie stoi na posterunku w taką noc, a nikt go nie usłyszy, nawet jeśli ktoś czuwał. Nie mógł przekrzyknąć wycia wiatru. W takim stanie nie mógł wspiąć się na mur. Ogarnęła go złość; cisnął więc swój ogromny miecz w bramę, a ku jego zdumieniu wrota rozchyliły się. Pozostawiono je otwarte!

Kane rozwarł bramę na szerokość konia i nie zastanawiając się długo nad szczęśliwym zbiegiem okoliczności, wjechał na dziedziniec. Stuk końskich kopyt wtórował jego głośnym okrzykom, gdy usiłował obudzić kogoś ze służby. Kiedy zbliżył się do głównego wejścia, szkapa potknęła się i przewróciła, wyrzucając jeźdźca z siodła na ziemię. Kane był zbyt odrętwiały, aby móc szybko zareagować: zatoczył się niezręcznie i upadł na progu, uderzając o drzwi.

Ostatkiem sił uderzył mieczem w nabijane żelazem dębowe wrota. Odwrócił głowę i spojrział w kierunku bramy, którą właśnie przybył. Nim pogrążył się w ciemności, miał wrażenie, że coś białego przecisnęło się przez nią.

OCALONY

Kane odzyskiwał przytomność. Z pewnym wysiłkiem starał się zebrać myśli. Coś białego utkwilo mu w pamięci. Wreszcie w jego oczach pojawiła się świadomość.

Jej powieki rozchyliły się nieco, gdy wzdrygnęła się wystraszona hardym spojrzeniem Kane'a. Szybko jednak opanowała się i rzekła, ukrywając zakłopotanie:

— Proszę, spróbujcie to wypić!

Kane milczał. Podała mu kielich do ust, a on przyjął go z wdzięcznością, czując smak doskonałego trunku, pomimo swego stanu. Ciepło rozeszło się wewnątrz jego ciała wraz z napitkiem, rozgrzewając go równie skutecznie, jak ogień trzaskający u jego boku. A więc mieszkańcy tego zamku usłyszeli nawoływania — domyślił się, badawczo rozglądając się po otoczeniu.

Znajdował się w małej kamiennej sali, której umeblowanie stanowiło parę ław, kilka krzeseł i potężny stół. Blisko stołu, pod ścianą, palił się ogień. Pobieżne oględziny izby przypominały mu pomieszczenie, w którym odzwierny i straż nadzorują główne wejście. Nie miał już na sobie zamarznętego płaszcza, leżał okryty ciężkim, grubym futrem. Dwóch paziów podtrzymywało go w pozycji półleżącej blisko ognia; kilku innych oraz jakaś senna służka kręciło się po pokoju i koło drzwi.

Kielich trzymała u jego ust długowłosa dziewczyna o urodzie elfa. Kane odgadł po wytwornych szatach z białego rysia i kosztownym szmaragdzie umieszczonym w pierścieniu na jej delikatnej dłoni, że była to panna wysokiego rodu. Jej duże, szare oczy świeciły się, a twarz o regularnych rysach okalały długie, jasne włosy, splecione w warkocz. Jej wizerunek dopełniał spiczasty podbródek i delikatnie rzeźbiony nos. Uśmiechając się czarująco, jakby jej usta były ku temu stworzone, wyglądała raczej na zagadkowego duszka, choć obecnie na jej obliczu malował się niepokój. Była albo nastolatką, albo mogła mieć najwyżej dwadzieścia parę lat.

— A więc Breenanin, co ciekawego odkryłaś? — mąż jak niedźwiedź wkroczył do pokoju, owinięty niedbale w grube futro.

— Kim jest ten człowiek, który niczym śnieżna zjawa przychodzi nocną porą zakłócać sen uczciwych ludzi! — powiedział głośno, zdradzając łagodne usposobienie.

— Mów ciszej, ojciec — skarciła do Breenanin — on jest ranny i prawie zamarzł.

— Co takiego? — wymamrotał z zaciekawieniem gospodarz, czyniąc przeproszający gest ręką by udobruchać swą córkę.

Kane odsunął sługi i stanął niepewnie na nogach, przeczącąc ból i zawroty głowy. Zdołał wyprostować się. Napotkał badawcze spojrzenie gospodarza, więc rzekł, aby zachować dobre manieri:

— Proszę o wybaczenie, że nadchodzę bez zapowiedzi o tak niestosownej porze. Błądziłem wiele dni na pustkowiu i czekała mnie niechybna śmierć, kiedy zaskoczyła mnie nawałnica. Zrządzeniem losu natrafiłem na ten zamek. Mój koń padł na dziedzińcu, ja zaś byłem nieprzytomny aż do teraz. Do rana zamieniłbym się w sopel lodu, gdyby twoi ludzie mnie nie odnaleźli.

— Na dziedzińcu, powiadasz? — rzekł ze zdumieniem gospodarz. — Do stu par diabłów, jak udało ci się przejść przez bramę?

— Była otwarta, kiedy ją pchnąłem — odparł Kane. — Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, ktoś zaniedbał obowiązków.

— Być może, ale przez takie niedopatrzenie można już się nie obudzić któregoś ranka. Gregig! Fakt, że rozpętała się zamieć, nie zwalnia cię od twoich powinności.

Odźwierny był wyraźnie zmieszany.

— Panie, pamiętam dokładnie jak zamykałem bramę, kiedy zerwała się burza. Nic nie rozumiem!

— Hmm! — mruknął jego pan. — A czy teraz brama jest zamknięta?

— Tak panie — pośpiesznie odparł sługa. Potem dodał z zakłopotaniem: — Kiedy sprawdziłem ją po znalezieniu cudzoziemca, była zamknięta.

— A więc nawet zmarznięty jeździec ma więcej zdrowego rozsądku od gnuśnych odźwiernych.

— A więc zamknął ją wiatr, bowiem ja tego nie zrobiłem — wtrącił Kane i odczuł na sobie wzrok gospodarza.

— To niemożliwe — odparł. W końcu wzruszył ramionami — Być może upadek spowodował lukę w twojej pamięci. To się czasami zdarza.

Kane milczał.

— W każdym razie jesteś już w środku. Witam cię w mojej nieco chłodnej posiadłości! Jestem Baron Troylin z Carrasahl, a ten niedożywiony podcaszy to moja córka Breenanin. Korzystaj z mej gościny, dopóki zamieć nie ustanie i nie poczujesz się dostatecznie silny, by wyruszyć w dalszą drogę. Goście ze świata są tu zawsze mile widziani — to nas ratuje przed monotonią dnia. — Wybuchnął śmiechem. — Sądząc po sile zamieci, wszyscy pozostaniemy tu unieruchomieni na jakiś czas.

Kane pokłonił się:

— Jest pan nad wyraz uprzejmy. Jestem głęboko wdzięczny za gościnę — mówił grzecznie, biegle postugując się językiem Carrasahl. Uważnie rozejrzał się po zebranych. — Nazywam się Kane. — Nie wywołało to żadnej reakcji, więc ciągnął dalej. — Jestem najemnikiem, choć obecnie nie służę nikomu. Zmierzam do Enseljosa z nadzieją, że Winston przyjmie moje usługi w sporze granicznym przeciwko Chectalos'owi. Zboczyłem z głównego szlaku, usiłując zaoszczędzić kilka mil jadąc na skróty, a tymczasem omal nie znalazłem śmierci, kiedy dopadła mnie zamieć.

Troylin nie dał po sobie znać, aby wątpił w słowa przybysza, ale Kane nie poczytywał go za takiego prostodusznego człowieka, na jaki wskazywał jego swobodny i grubiański sposób bycia. Baron uważnie przyglądał się gościowi, chcąc odgadnąć kim był ten człowiek, którego przywiała burza.

Kane był potężnie zbudowanym i roslym mężczyzną, mającym niewiele ponad sześć stóp wysokości. Jego ciało przypominało dąb, z którego jak konary wyrastały silne ramiona, wspierały nogi jak kolumny. Ręce miał duże i silne. — Jak ręce dusiciela — pomyślał Troylin. Ten człowiek musiał być obdarzony niezwykłą siłą i prawdopodobnie władał po mistrzowsku swym mieczem. Wydawał się być leworęczny, o ile się nie mylił. Miał dość krótko ostrzyżone, czerwone włosy i niedługą brodę. Twarz o nieco zgrubiałych rysach, jakby wyrażająca groźbę, na której widniał ślad niezabliźnionej rany.

Barona niepokoiło spojrzenie Kane'a. Poczuł to od razu. Nic dziwnego, bowiem oczy Kane'a były oczami śmierci. Miały niebieski kolor, ale żarzyły się jakimś wewnętrznym światłem. Były zimne jak gemmy i świecił się w nich płomień szaleństwa, żądza mordu i niszczenia. Zdawały się wyrażać nienawiść życia i obiecywały tragiczny koniec temu, kto odważyłby się wytrzymać ich spojrzenie. Troylin wyobraził sobie to tęgie ciało w akcji na polu bitwy: płonące oczy mordercy i miecz zboczony krwią tych, którzy zagroździ mu drogę.

Baron pospiesznie uniknął spojrzenia przybysza, czując jak obejmują go dreszcze. Na Vaula! Co za typ z tego człowieka. Niemniej był to najemnik — płatny morderca. Wśród takich osobników trudno o wrażliwego poetę, ale sądząc po jego postawie, Kane nie był pospolitym zawadiaką. Po jego mowie i manierach znać było wykształcenie, a może nawet ślady dobrego wychowania. Zdarzało się w najlepszych rodzinach, że wyrodny syn powodowany chęcią zysku albo żądzą przygód, zaciągał się do wojska. Kane, obdarzony silną osobowością, mógł z

powodzeniem zostać wyższym oficerem, a jego pierścienie i wspaniała broń świadczyły o dawnym bogactwie. Wyjątkowo trudne było określenie jego wieku, wydawało mu się, że ma około trzydziestu lat, lecz jego postawa była bardziej dojrzała, niż wskazywałby na to wygląd zewnętrzny.

Troylin postanowił zająć się w ciągu najbliższych dni wyjaśnieniem tajemnic swego osobliwego gościa. Prawdopodobnie usłyszy od niego jakieś ciekawe i prawdziwe opowieści. W każdym razie będzie to coś innego aniżeli pieśni barda. Zachowa przy tym należyta ostrożność, dopóki nie upewni się co do niego.

— Ojczy, czy potrafisz tylko stać tu jak zaspany niedźwiedź?!

Troylin ocknął się.

— Ach tak... Zamyśliłem się przed chwilą. No, ale Kane, tak jak mówiłem — witaj u nas. Służba wskaże ci twój pokój — mamy ich tu całe mnóstwo; prawdę mówiąc brakuje nam ludzi. Zimujemy tutaj z dala od cywilizowanego świata dla odpoczynku.

Pomyślał, że Kane po ciężkich przejściach stał wyprostowany i raz jeszcze zadumał się nad jego fantastyczną siłą.

— Tak, właśnie! Mam nadzieję, że jutro poczujesz się znacznie lepiej. — Odwrócił się i odszedł.

Kane owinął się futrem i podążył za parobkiem. Mógł iść tylko powoli; mimo że zamroczyło go kilkakrotnie, nie chciał żeby inni widzieli jego słabość. Przy odrobinie szczęścia mógł się tutaj skryć przed Satahami. Miał nadzieję, że pościg zgubił się już w zamieci.

— Miałeś wielkie szczęście, że znaleźliśmy cię, panie — powiedział sługa, otwierając drzwi do komnaty Kane'a. — Wiecie — nie było nikogo na służbie. Wszyscy pozasypiali w tę szaloną pogodę.

— Ach, tak — odparł Kane, zbyt zmęczony, aby wdawać się w dyskusję. — Jak to się więc stało, że mnie wpuściliście?

— To zasługa panienki. Cierpiała na bezsenność i usłyszała was. Wtedy zbiegła na dół i obudziła odzwiernego, Inga i mnie.

— To nadzwyczajne, że zdołała usłyszeć mnie w tej zamieci!

Kane runął na łóżko z westchnieniem.

— To nie was usłyszała — odpowiedział służący przekraczając próg — tylko rzenie waszego konia. Biedna szkapka chyba zwariowała ze strachu. Była czymś śmiertelnie przerażona, ale niczego nie mogliśmy wypatrzeć na podwórzu.

W POTRZASKU NAWAŁNICY

Kane natychmiast zapadł w głęboki sen podobny do transu, jakby jego ciało usiłowało się w ten sposób leczyć ze znoju wielodniowej ucieczki. Czasami dręczyły go majaki — wspomnienia z dawnych przygód, albo odczuwał bóle w odmrożonych członkach. Jednak nawet one nie były go w stanie zbudzić. Nagle wydało mu się, że znowu słyszy okropny skowyt wilków i widzi parę nieludzkich oczu, które z wściekłością wpatrują się w niego.

W końcu Kane odzyskał przytomność i miał wrażenie, że ktoś zaczął się w pobliżu. Natychmiast stał się czujny i rzucił się w bok. Zamachnął się potężnym ramieniem i pochwycił za pukiel białych włosów, dobywając jednocześnie drugą ręką sztyletu.

— Poczekaj, litości! — krzyknęła z przerażenia ofiara.

Mało brakowało, by Kane doprowadził do skutku śmiertelnośny cios. Trzymał za zarost starego człowieka o surowym obliczu. Ten usiłował kościstymi dłońmi rozerwać uścisk Kane'a; jego szaty trzęsły się na wskutek doznanego wstrząsu. Kane rozluźnił uchwyt, ale trzymał broń w pogotowiu.

— Na Siedem Oczu Troyelleta! — wykrztusił starzec, rozcierając swą zarośniętą twarz. — O mało nie wyrwałeś mojej brody, do diabła, mogłeś poderżnąć mi gardło! Zdeprawowany morderca, ot co! Wściekły pies! Kogo mój dobry baron tu wpuścił?!

— Kim do diabła jesteś? — warknął Kane.

— Ostrzegalem go przed obcymi! Gwiazdy mówią jasno, że nadchodzą dni grozy dla nas wszystkich, ale on nie słucha. Udzielił schronienia demonowi i oczekuje, bym ja się nim opiekowałem. Ostrzegam cię, piekielna żmijo! Nie zamierzam puścić w niepamięć tej niedoszłej zbrodni!

— Czego tu szukasz? — spytał szorstko Kane.

Starzec nadal wyglądał na przestraszonego. Ocenił odległość do drzwi i stwierdziwszy, że są za daleko, opanował się.

— Jestem Lystric — nadworny fizyk i astrolog barona Troylina. Chrapałeś tu przez cały dzień, więc baron kazał mi wstąpić i zbadać cię. — Spojrzał ponuro na Kane'a. — Tak, jakby igraszki w zamieci mogły zaszkodzić śnieżnej zjawie! Usiłowałem obejrzeć twoje rany, kiedy omal mnie nie zabiłeś za mój trud. Piękne zachowanie! Co za maniery, gościu! Troylin powinien był poćwiartować cię we śnie!

— Wielu już tego próbowało! — odparł Kane, stając na chwiejnych nogach. — Możesz uważać, że miałeś szczęście, ty stary rozpustniku, że szybko zorientowałem się, że nie jesteś szkodliwy, zanim wyprułem ci wnętrzności. Ale, jak zapewne zdążyłeś się zorientować, czuję się dobrze.

Lystric poczerwieniał ze złości.

— Niech cię diabli! Ostrzegam cię, że jestem w posiadaniu tajemnych mocy, zdolnych obrócić twą siłę w proch, jeśli tylko uznam za konieczne uciec się do nich. Wcale nie jest to wykluczone. Nastają czasy, kiedy Troysin nie powinien udzielać gościny w swej posiadłości nieznanym o zbrodniczych skłonnościach. W gwiazdach zapisana jest śmierć! Wiem o tym!

Kane mimo cierpienia silił się na humor.

— Czy sprawi ci jakiś kłopot, jeśli mnie teraz zbadasz? — spytał niewinnie.

— Cholernie z ciebie bezczelna bestia! — wrzasnął Lystric i skierował się do drzwi; gdyby nie obejrzał się trwożnie, wywołałby majestatyczny efekt... Zatrzymał się na progu i popatrzył spod oka. — Baron wyraził życzenie, abym zaprosił cię na wieczerzę, o ile uznam, że nie jesteś zbyt słaby, aby wstać.

— Podziękuj mu i powiedz, że przyjąłem zaproszenie.

— A jakżeby! Wiedz, że przyślę tu oddział zbrojnych, którzy zmasakrują cię, jeśli taka będzie moja wola!

Kane umyślnie uniósł sztylet — niby do rzutu. Lystric zniknął.

Atmosfera przy stole była raczej napięta i Kane, chociaż zajęty był jedzeniem, zauważył pewne skrępowanie wśród biesiadników. Jadł powoli, smakując każdy kęs, chociaż był to pierwszy prawdziwy posiłek od wielu dni. To niezwykle, że człowiek, który taką drogę przebył żywiąc się sucharami, nie pochłaniał żarłocznie swej porcji, a spożywał ją z godnością. Jednocześnie przyglądał się z zainteresowaniem zebrany przy długim stole osobom. Baron Troysin i jego córka jedli nerwowo, maskując wymuszoną wesołością wewnętrzny niepokój. Astrolog Lystric, który także znajdował się na sali biesiadnej, spoglądał czasem na Kane'a nieprzychylnie. Pozostali zaś spoglądali trwożnie na młodego mężczyznę siedzącego obok niego.

Troysin przedstawił młodzieńca jako swego syna imieniem Henderin. Nie odpowiedział na powitanie Kane'a i od chwili rozpoczęcia posiłku wpatrywał się kamiennym wzrokiem w postawiony przed nim talerz. Kane zauważył, że Henderin nie miał przy półmisku noża i że dwaj stojący za nim słudzy gorliwie obserwowali każdy jego ruch. Nikt nie uprzedził go o niczym, a Kane także o nic nie pytał. Domyślił się, że to Henderin jest

przyczyną ich niepokoju. Przystojny i dobrze zbudowany młodzieniec był o kilka wiosen starszy od siostry i tak jak cała rodzina — miał blond włosy. Nie obchodzono się z nim źle, ale wydawało mu się, że jest wyróżnionym więźniem, któremu pozwolono zasiąść do stołu zwycięzcy.

Henderin postanowił przerwać niezręczne milczenie akurat w połowie anegdoty opowiedanej przez ojca.

— To mięso jest przypalone! — krzyknął. — Mówiłem, żeby dawać mi tylko surowe mięso!

Pachołki za jego plecami stali w pogotowiu. Breenanin zastygła, trzymając filiżankę przy ustach, a Troylin spojrzął nerwowo w stronę Lystrica. Astrolog przemówił łagodnym głosem:

— Oczywiście, kucharz na pewno zapomniał. Pomówię z nim o tym. Tymczasem, skoro my wszyscy jemy — może ty także spróbujesz pieczonego mięsa. Jest smakowite i czerwone — ogień tylko podgrzał je dla ciebie!

— Mówiłem, że chcę surowe mięso! — wybuchnął Henderin.

— Nie spieczone przez płomień na śmierć, ale jeszcze ciepłe i krwiste. Podać mi to zaraz!

Lystric dodał prędko:

— Ale całe mięso zostało już ugotowane. Dlaczego nie zjesz nawet kęsa?

Henderin przeklął głośno i cisnął talerzem o podłogę.

Służba chciała go już chwycić od tyłu, ale Lystric powstrzymał ich gestem. Z kątów sali zerwały się psy myśliwskie i skoczyły na rzucone mięso. Henderin patrzył jak urzeczony na żarłoczne zwierzęta, uwijające się wokół jedzenia. Uśmiechając się dziko, chwycił z tacy kawał mięsa, przysunął go do siebie i zatopił w nim zęby. Rozrywał je, pożerając duże kęsy ze smakiem. Słychać było tylko jego pomrukiwania.

Pozostali posilali się spokojnie. Kiedy skończono jeść, wieczór stał się ciekawszy. Służba wymiotła okruchy i zaczęła podawać mocne piwo. Kane chciał spędzić tę noc na gawędzeniu i picciu, przypuszczając, że Troylin oczekiwał, aby odplacić mu za gościnę w ten sposób.

Nastroj poprawił się. Przy niskich stołach służba i żołdacy głośno flirtowali z rozweselonymi piwem służkami. Wielki ogień rzucał w krąg ruchliwe światło. Nawet Henderin zachowywał się przez chwilę spokojnie. Leniwie kreślił na stole figury, palcem umoczone w piwie. W cieniu kolumny, blisko wysokiego stołu, stał wysoki mężczyzna i przebierał palcami po strunach lutni. Kane nie mówił wiele w czasie posiłku i z ulgą stwierdził, że baron nie nalega. Troylin słuchał z zaciekawieniem jego opowieści. Z radością odkrył, że Kane jest zajmującym i mądrym

partnerem w rozmowie, a do tego czerpał materiały z niewiarygodnie starych źródeł. Postanowił nie wtrącać się w jego sprawy. Nie pytał też, co przyniosło go w te strony.

Nie uważając, że pytanie jest nietaktowne, Kane powiedział:

— Jak to się stało, że zimujecie tutaj, w Marsarovji? Nawet w Carrasahl jest chyba wygodniej i cieplej niż na tym pustkowiu!

Troylin zaśmiał się wesoło i odpowiedział:

— Tak, ostatnio męczyły mnie zimy spędzone w mieście. Pomyślałem, że byłoby dobrze spędzić ją dla odmiany tutaj, z dala od zgiełku. Moja rodzina od lat jest w posiadaniu tego zamczyska — jest to w istocie fortyfikowany gród z czasów Cesarstwa. Odkryłem, że ten wiejski zakątek nadaje się do odpoczynku — są tu znakomite tereny łowieckie i to przez okrągły rok.

Zniżył nieco głos i dodał skrzepowany:

— Miałem nadzieję, że będzie tu odpowiednia atmosfera dla Henderina. Chłopiec jest trochę niezrównoważony — spostrzegłeś to na pewno — a Lystric zapewniał mnie, że tutaj będzie czuł się on dobrze.

Kane skinął głową i zaczął rozmawiać o polowaniu. Wiedział, że Marsarovja obfituje w podbiegunową zwierzynę. Po chwili poczuł na sobie czyjeś spojrzenie; odwrócił się szukając przyczyny niepokoju. Z mroku wyłoniła się pochylona nad lutnią sylwetka szczupłego mężczyzny, którego oczy żarzyły się niezwykłym czerwonym światłem w blasku ognia.

Patrząc tam, gdzie Kane, Troylin dostrzegł go i zawołał:

— A, Evingolis! Tu jesteś! Zastanawiałem się, gdzie podziwałeś się dziś wieczór. Chodźże, zagraj nam coś. Gwarzyliśmy tak zapamiętale, że nie zdążyliśmy na dobre sięgnąć do kielicha!

Zwracając się znów do Kane'a, powiedział:

— To jest Evingolis, najbardziej wykształcony bard, jakiego kiedykolwiek będziesz miał okazję posłuchać. Na szczęście, otoczyłem go opieką zeszłego lata, a to radość mieć go blisko siebie w zimowe wieczory! Rozwodził się jeszcze nad licznymi zaletami pieśniarza.

Wychwalany przez barona wyszedł tymczasem z mroku i zajął miejsce przy ogniu. Płynnie przebiegając długimi palcami po strunach instrumentu, czystym głosem śpiewał o niewidomej księżniczce i jej kochanku — demonie. Kane rozpoznał pieśń. Była to jedna z sag Opyrosa. Przypomniała mu ona osobliwe losy jej twórcy. Sam bard był rzeczywiście postacią niezwykłą: albinosem o jasnej cerze, białych włosach i różowych oczach. Kane nie mógł określić jego narodowości, akcent pieśniarza odbiegał od tych, które słyszał. Evingolis był wyższy od Kane'a o

kilka cali i chociaż był szczuplej budowy, nie wyglądał na delikatnego, czy słabego.

— A co byś powiedział na jeszcze jedną pieśń, Evingolis? Zagraj coś żywszego w tę mroźną noc!

— Oczywiście, mój panie! — odparł pieśniarz przyjmując puchar od roześmianej służki. — Tylko chwilę, niech przeczyszcze swe gardło.

Wychylił piwo duszkiem i zaintonował przepelnioną radością życia balladę o pięciu córkach drwała; rozochoceni ludzie barona wtórowali mu.

— Trochę oryginalne ma upodobania — zauważył Troylin. — Ale jeśli nalegać — potrafi być normalny.

— Są tacy, którzy utrzymują, że prawdziwe piękno leży tylko w rzeczach zwykłych — wyszeptał Kane spoglądając na blask ognia odbijający się w jasnych włosach Breenanin.

Ona uśmiechnęła się, nie wiedząc, czy miał to być komplement. Ale Kane błędził myślami daleko i dojrzał tylko jak odsoniła lśniąco białe zęby w uśmiechu.

Baron snuł opowieść o zimowym polowaniu, w którym niedługo uczestniczył, a Kane przez jakiś czas z grzeczności usiłował objawiać zainteresowanie. W momencie, kiedy jeleni przebiegał rogami ulubionego psa, na korytarz wpadło kilku ludzi Troylina, hałaśliwie strzepując śnieg z odzieży.

— No, Toli, widzę że wróciliście wreszcie! — baron przywitał ich dowódcę. — Co się tam dzieje na zewnątrz?

— W istocie to białe piekło, panie! Ot co! Teraz, kiedy niebo się rozchmurzyło, zrobiło się tak zimno, że jak splunąć — to zamarza w powietrzu. Tam, gdzie poszliśmy, zasy były cholernie głębokie, prawie nie do przebycia. Nie zdołaliśmy nawet wyprowadzić sani. Jesteśmy odcięci, dopóki skorupa śnieżna nie stwardnieje.

— Nic nie szkodzi! — powiedział baron. — Wystarczy zapasów na całą zimę, a i zwierzyny w lasach jest dość, jak mi wiadomo.

Toli pokręcił przecząco głową.

— Nie byłbym tego taki pewien. W okolicy grasują wilki — wielkie i groźne osobniki, a do tego zuchwałe! Widziałem ich może z pół tuzina, jak podążały za nami trzymając się na odległość lotu strzały. Wyglądały jakby miały ochotę rzucić się na nas, ot co! Musi być trudno o zwierzynę, skoro wyszły na otwartą przestrzeń. A to nie wszystko, mój panie! Natknęliśmy się na coś naprawdę okropnego tam w śniegu! Wpadliśmy na to, kiedy właśnie zawracaliśmy. Wymordowany orszak ludzi, ot co!

Wśród zebranych przebiegły szepty grozy. Toli przetknął ślinę i mówił dalej.

— Wygląda na to, że było ich ośmiu, czy dziewięciu i do tego konie, ale byli tak pokiereszowani, że trudno powiedzieć na pewno. Dostały ich wilki — rozszarpały na kawałki! Domyślam się, że zostali zaatakowani podczas zamieci, kiedy stracili orientację. Musiało to być duże stado, bo napadło na tylu ludzi. Do tego wszyscy byli uzbrojeni, ot co! Trudno coś dokładnie powiedzieć, ale mieli jakiś dziwny ekwipunek. Niepodobny do niczego, co widać tu wokoło. Zobaczywszy to, zrobiliśmy w tył zwrot i pogналиśmy ile sił w nogach. Wilki atakują zbrojne oddziały — nigdy nie słyzałem czegoś podobnego!

Położył na stół złoty medalion.

— Widziałem parę takich wokół ciał.

Baron zachmurzył się.

— No tak, ale przecież wilki nie mogą nas tu dostać! — podsumował, co rozbawiło Henderina.

Kane przyjrzał się uważnie medalionowi i rozpoznał wyryte na nim starożytne hieroglify. Wyznawcy Sataki nie będą go już prześladowali...

IV

POLOWANIE NA ŚNIEGU

— Uważam, że baron jest szalony, skoro chce wybrać się na polowanie po tym, co usłyszał od Toli'ego i reszty zesłej nocy — powiedział łowczy, najwyraźniej skory do rozmowy.

— Hmm...? — mruknął Kane sprawdzając wyważenie kilku myśliwskich oszczepów.

— Nie słyszeliście tego, co zostało powiedziane później. Brrr...! Na samą myśl o tych biedakach znalezionych tam na dworze... Mówili, że nie zostało nic, prócz gołych kości. Tyle wilków dookoła, a baron upiera się, że to piękny ranek na polowanie. Byłem przekonany, że wy, po tym wszystkim co przeszliście — dosyć macie śniegu.

Kane wybrał najlepszy wśród oszczepów, krytycznie oceniając ostrość grotu.

— Wnien być dobry — stwierdził. — Wątpię, aby były jakiegokolwiek kłopoty z wilkami. Prawdopodobnie udało im się zaskoczyć tamtych z powodu zamieci. Nasza wyprawa jest wystarczająco liczna, a światło dzienne utrzyma je w ukryciu. Poza

tym, w lesie śnieg jest raczej płytki, więc konie będą mogły bez trudu się poruszać. Kłopot będzie z upolowaniem jakiegoś losia. Oczywiście — dodał po namyśle — podejrzewam, że dzika zwierzyna obfituje, skoro baron zaciągnął tutaj wszystkich domowników, na takie odludzie.

Spostrzegł, jak łowczy wzdrygnął się nerwowo, próbując pohamować swój nieokiełznany język.

— A może istnieją inne przyczyny przyjazdu tutaj?

Pokusa była zbyt wielka. — Nie sądzę, by zależało baronowi na wtajemniczeniu cię w sprawę — rozpoczął łowczy, oglądając się uważnie na boki — ale ktoś to w końcu zrobi, a tym kimś mogą być równie dobrze ja. Nikomu to przecież nie zaszkodzi! Baron był zmuszony opuścić Carrasahl. Wiecie, jego syn to wariat, okropny szaleniec. Chcieli go nawet spalić, biedny Henderin! Baron wyjechał, aby przeczeekać wzburzenie, aż się wszyscy uspokoją. Wiecie też, że Lystric opiekuje się młodzieńcem. Powiedział on, że dobrze mu zrobi przebywanie na odludziu, z dala od gwaru miasta. Rzekomo ma to wpływać uspokajająco na jego umysł. Dlatego Henderin żyje prawie tak samo jak inni, chociaż nie powinien. Jest pilnie strzeżony zamiast przebywać pod kluczem. Lystric twierdzi, że łatwiej będzie mu przystosować się do rzeczywistości, jeżeli będzie prowadził zwykły tryb życia. Ja sam jednak nigdy nie uwierzyłbym tej starej, przebiegłej sroce, choć mądrze się wyraża — to cwany szarlatan. Nie jestem pewien, czy to nie któraś z jego mikstur nie uczyniła Henderina szalonym. Każdy wie, że nigdy nie piastowałby tego wysokiego stanowiska, gdyby baron nie przyjął go jako medyka swojego syna. Cóż za ironia losu! Kilka lat temu stary Lystric zabawiał gości na dworskiej biesiadzie, na której był też baron. Troylin upił się i stroił sobie żarty z historyjek tego zgrzybiałego starca. Tej szelmie zrzędała mina i zaczął wyzywać barona od upośledzonych prostaków i zakutych łbów. Troylin poszczuł go za to psami. Skoczyły na niego przez stół zastawiony jedzeniem. To było doprawdy zabawne! Jasne, że czego by nie potrafił, stary Lystric jest niespełna rozumu; a baron bardzo musiał się starać, zanim nakłonił go do przyjęcia stanowiska. Niemniej Lystric był dla Troylina ostatnią deską ratunku, po tym czego dopuścił się Henderin.

— Co takiego zrobił Henderin, że ludzie chcieli go spalić? Zwykłych wariatów nie traktuje się aż tak bezwzględnie.

Łowczy rozgrzewał się w miarę dyskusji. Teraz miał powiedzieć najważniejsze. Spojrzał dookoła i zniżył głos.

— Ponieważ w jego przypadku nie mamy do czynienia ze zwykłym szaleństwem, o nie, jaśnie panie. Henderin to cicha

woda — dlatego tak bacznie go strzegą. Właśnie tam w Carrasahl zabił człowieka — jednego z nadwornej straży. Gorzej! Zabił go, rozszarpując mu gardło własnymi zębami. Wciąż go przeżuwał, kiedy go złapali. Powarkiwał jak dzikie zwierzę, które pochłania zdobyczą!

Dostrzegając, że Kane zainteresował się tym, co opowiadał, łowczy gadał dalej.

— Trzymali go pod kluczem i jedyne co baron mógł zrobić — to zabrać go z miasta tutaj. Lystric twierdził, że to opętanie i tak mądrze prawił, iż Troylin zaciągnął go tu ze sobą puszczając w niepamięć dawne niesnaski. I powiem ci coś jeszcze! Parę dni temu, kiedy rozpętała się zamieć, jeden ze służby zginął dokładnie w ten sam sposób. Coś dosłownie rozerwało mu gardło! Wydobył z siebie w ostatniej chwili coś o śmierci czyhającej na nas wśród zamieci. W tym było coś nadzwyczajnego, już ja to mówię! I powiem więcej! Równie dobrze mógł go dopaść wilk, ale są wśród nas tacy, którzy nie wierzą astrologowi, że cały czas obserwował Henderina. Posłuchajcie, mogę wam opowiedzieć jeszcze o kilku wydarzeniach, które miały tu miejsce nocą, a nie są zupełnie normalne. Wcale a wcale, jaśnie panie!

Lecz jakichkolwiek plotek nie miałby łowczy na końcu języka — pozostały one nie wyjawione. Okrzyki z zewnątrz zapowiadały bowiem nadejście Troylina. Baron z niecierpliwością oczekiwał wyprawy. Kane zastanawiał się nad słowami łowczego bawiąc się myśliwskim oszczepem. Pospieszył na dziedziniec. Dosiadł konia danego mu przez gospodarza. Cały oddział liczący około dwunastu ludzi ruszył w głąb białej puszczy.

Myśliwskie psy biegly przez śnieg poszczekując radośnie, chronione przed arktycznym mrozem puszystą sierścią. Pomimo zmarzniętej ziemi i trzaskającego mrozu, słońce świeciło nisko na niebie, rażąc oczy myśliwych. Odblask promieni na śniegu był uciążliwy nawet wśród drzew, a poza obszarem leśnym oślepił. Zimne oczy Kane'a rozglądały się uważnie, szukając śladów wilków. Nie zauważył jednak obecności wielkiego stada, które wczoraj zaatakowało ludzi. Ślady były zatarte, gdyż ciągle padał śnieg. Mimo to, gdzieś tam one widniały. Czasami wyżły powarkiwały wpadając na trop.

Orszak wyglądał jak zwykła wyprawa łowiecka. Oprócz Kane'a, baron zabrał ze sobą pieśniarza Evingolisa oraz dziesięciu spośród swoich myśliwych i żołnierzy. Okrzyki niosły się w las. Jeśli ktokolwiek z nich był przerażony opowieściami usłyszczanymi zeszłej nocy, nie dawał tego po sobie poznać. Emocje wywołane polowaniem i światło dzienne — oddaliły obawy. Wszyscy, nie licząc nadzorców sfory, byli uzbrojeni w myśliwskie oszcze-

py. Oprócz długich noży i łuków nie mieli żadnej broni. Wyjątkiem był Kane, który umocował przy siodle swój potężny miecz. Evingolis robił sobie z tego żarty.

— Wyprawiliśmy się na losie, cudzoziemcze, a nie na wojnę!

Kane, słuchając docinków albinosa, wzruszył tylko ramionami. Pamiętając, że nadworny bard miał zadanie być uszczypliwym, odparł:

— W moim fachu miecz to wierny towarzysz, póki życia stanie!

— No i pewnie najlepszy kolega po fachu — zaśmiał się Evingolis. — Myślę, że jest on przedłużeniem twojego silnego ramienia, nie możesz się bez niego obyć. Ale, wracając do twojego zajęcia — na czym ono dokładnie polega?

— To śmierć — odparł sucho Kane. — Ale nie godzę w pieśniarzy, choć zabijam dla zysku.

Pozostali byli rozbawieni wymianą zdań między gościem a bardem, lecz Kane i albinos nie zwracali na to uwagi.

Psy myśliwskie rozszczękały się na dobre, zagłuszając hałaśliwe okrzyki swych panów. Wyrwały się ze smyczy, szarpiąc nadzorców sfory.

— Świeży trop! — padł okrzyk. — To łoś! Wielka sztuka, sądząc po śladach!

— Puść je wolno! — ryknął Troylin. — Do stu par diabłów! Już czuję smak pieczeni!

Spuszczone psy pogoniły po tropie w las, potracając połamane gałęzie i skacząc przez zasy. Przeciągly skowyt rozlegał się wśród drzew, dając wyraz ich żądzy dopadnięcia ofiary. Myśliwi puścili się lekkomyślnie za sforą wykrzykując zapalczywie, nie zważając na przysypane przeszkody i groźnie sterczące konary. Koniom i jeźdźcom groził w każdej chwili upadek.

— No! Dalej! Za nimi! Spóźnimy się na pokot! Co robisz, do cholery! Założę się o dukata, że psy go rozerwą, zanim dotrzemy na miejsce! Bierz się do roboty! Pamiętaj — Kane ma strzał po baronie! Szybciej! To na pewno samiec! Niech mnie diabli! Uwaga, pniak! Posłuchaj, jak ujadają!

Psy podnosiły taki sam rwetes.

Wjechali na polanę i wpadli w osłupienie. Trop niespodziewanie rozwidłał się, a ślady mówiły wyraźnie, że sfora rozdzieliła się na polanie i pognąła w dwie strony.

— Na brodę Thoema! — krzyknął Troylin z zadowoleniem.

— Patrzenie, jest jeszcze jeden!

Tropy wskazywały, że pierwszy łoś spotkał na polanie innego, po czym zwierzęta podążyły w różnych kierunkach. Sfora puściła się za obydwoma.

— Dostaniemy je oba! — krzyknął Troylin. — Kane, ty jedź za tym, który skierował się na zachód. Niech garstka z was idzie z nim. Spieszcie się, do diabła! Łoś pozabija psy jak sfora jest rozdzielona.

Baron podążył za pierwszym łosiem. Kane i pięciu innych galopem puścili się w inną stronę. Puszcza pochłonęła niebawem odgłosy ich przejazdu, a na polanie nastała cisza. Nie pozostała ona jednak zupełnie pusta...

Nikt nie przeczuwał katastrofy. Przypadła im nie zmęczona sztuka; psy goniły już długo za pierwszym łosiem, nie mogły więc z początku zmniejszyć dystansu. Jednak ich większa wytrzymałość i mały opór, jaki stawał im śnieg pozwoliły na szybkie dopadnięcie zwierza. Samiec wybrał sobie niewielką rozpadlinę i stanął się do obrony. Tylko trzy psy pogoniły za ofiarą i nie były w stanie powalić wielkiego łosia. Atakowały i odskakiwały zwinnie, aby uniknąć śmiertelnych uderzeń racic i rogów. Kiedy przybyli myśliwi, jeden przebity rogami wyżeł już zdychał, a zwierzę broczyło juchą.

Kane wymierzył swój oszczep z przerażającą dokładnością i ugodził łosia w kark. Z przebitą gardzielą władca puszczy ryknął w agonii. Pozostałe psy rzuciły się, aby dokończyć dzieła i w tej samej chwili dwie strzały utkwily w ciele śmiertelnie rannego łosia. Wznosząc triumfalne okrzyki, myśliwi otoczyli zdobycz leżącą na śniegu w kałuży krwi. Dwoje z nich szybko zsiadło z koni, aby powstrzymać rozjątrzone psy.

I w tym momencie wilki zaatakowały.

Spadły na myśliwych bezszelestnie jak ukąszenie żmii. Nagle pojawiło się stado około piętnastu szarych morderców, które podeszły ich od tyłu i nie zauważone wyskoczyły zza drzew. Jeszcze radowali się zdobyczą, gdy rozległy się okrzyki grozy i agonii a rozpadlina zaroila się od warczących sylwetek. To były wielkie szare wilki z północnych równin, długie prawie na sześć stóp — 150 funtów bezlitosnej, żółtookiej śmierci. Wściekle spragnione krwi, rzuciły się na zaskoczonych ludzi i teraz tropiący stali się ofiarami.

Ten, który pierwszy wydał okrzyk — zginął prawie natychmiast. Ogromny wilk skoczył na niego, wyrzucając go z siodła na śnieg. Powstrzymując rozwarłe szczęki przedramieniem, myśliwy wyciągnął nóż i desperackim ciosem rozpruł bestię. Jednak nim śmierć rozluźniła chwyt zwierzęcia, następny szary morderca uderzył, rozdzierając mężczyźnie gardło.

Dwaj łowcy na ziemi nie mieli żadnej szansy. Jeden żył dostatecznie długo, by wyrwać ze zwłok łosia strzałę i przebić nią pierwszego z atakujących go wilków. Kiedy usiłował wydobyć

broń — następne dwa powaliły go na zmarzniętą ziemię i rozszarpały. Drugi nie zdążył zareagować — już leżał w agonii. Był jednak w stanie ostatkiem sił dosięgnąć swego myśliwskiego noża i pośród krwawej kotłowaniny szarych sylwetek jego ramię wynurzało się i tonęło, długo zadając ciosy. Zadał głębokie rany licznym napastnikom.

Wyżyły zwały się z wilkami, z instynktową nienawiścią udomowionego zwierzęcia do swego dzikiego brata. W końcu jeden z wilków zatoczył się z dala od kłębiącej się masy — w jego czerwonych oczach malowała się śmierć. Niemniej przewaga liczebna i dzika wściekłość przechyliła szalę zwycięstwa na korzyść sfory. Waleczność wielkich psów zakończyła się krwawą klęską.

Kane znalazł się w zasadzce wilków jako jeden z pierwszych. Tylko jego niesamowity refleks i niewiarygodna zręczność pozwoliły mu przetrwać początkowe natarcie. Kiedy pierwszy wilk usiłował rzucić się na niego od tyłu, pochylił się w siodle i pochwyił krzepką dłońią za kark zwierzęcia. Następnie zakręcił ogromną bestią i cisnął z daleka od siebie. Wilk uderzył w pobliskie drzewo i spadł w śnieg ze złamanym kręgosłupem. W mgnieniu oka Kane ze szczękiem dobył prawą dłońią miecza. Drugi wilk niemalże podążył śladem poprzedniego. Ruchy Kane'a były szybkie i ostrze utonęło w czaszce zwierzęcia. Jego koń stanął dęba w panice; kiedy reszta się zbliżyła, musiał mocno zacisnąć nogi w strzemionach, aby utrzymać się w siodle. Jeden wilk padł z głową zmiażdżoną kopytem.

Pozostali dwaj myśliwi nie byli w stanie długo się opierać przewadze rozszalałych szarych sylwetek. Jeden trzymał jeszcze swój myśliwski oszczep. Zdecydowanym pchnięciem ugodził nacierającego wilka w klatkę piersiową. Mógł żyć nieco dłużej, lecz usiłował wprowadzić do akcji łuk. Kiedy zajęty był nakładaniem strzały, został zaatakowany z dwóch stron jednocześnie. Przez chwilę utrzymywał równowagę w siodle, gdyż wilki chwyciły go za obie nogi. Starał się przebić łukiem gardło jednego z napastników. Za ledwie uwonił się od kłów zwierzęcia, a już drugie ściągnęło go na ziemię. Szary koszmar pokrył ciało w konwulsjach — walka ustała.

Ostatni z myśliwych zatopił nóż w żebra bestii — ostrze utkwiło w jej boku i padła. Bezbronny jeździec rzucił się do ucieczki. Kiedy koń przebył już połowę rozpadliny — bezlitosne kły powaliły go w biegu. Jeździec i koń runęli w kotłującą się kupę szarości i czerwieni, miażdżąc pod sobą wilka.

Kane pozostał sam na sam ze stadem. Pół tuzina szarych morderców okrążyło swoją ofiarę. Niektóre kulały i krwawiły,

ale nie miały zamiaru puszczenia wolno pozostałego mężczyzny. Przelana krew doprowadziła je do wściekłości, a ich okrutny umysł opanował tylko jeden zamiar: powalić tego człowieka i zanurzyć pyski w jego krwi. Kane odwzajemnił ich harde spojrzenie. Zdawało się, że jego wykrzywione wargi unoszą się do warczenia, a jego oczy mordercy skrzyły się piekielnym ogniem. Pałał niewypowiedzianą żądzą zniszczenia i mordy, którą przeniknięty był do szpiku kości. Przez chwilę zdawało się słyszeć bicie serca, gdy mordercy pasowali się wzrokiem.

Ich atak był szarą zmorą zorganizowanego szaleństwa. Dwa wilki zajęły się człowiekiem, a pozostałe napadły na konia. Bestię z lewej przyjął Kane strasznym uderzeniem miecza, rozbryzgując czaszkę zwierzęcia na wszystkie strony. Drugi wilk skoczył na łono Kane'a zataczając w powietrzu piękny łuk. Jego szczęki zacisnęły się spazmatycznie, ale natrafiły na próżnię, gdyż żółte oczy zastygły już w agonii. Sztylet utonął w jego gardle aż po rękojęść. Kane wycelował broń, gdy właśnie wilk szykował się do skoku. Zwierzę wyzionęło ducha niemal w tej samej chwili, kiedy padł od miecza jego kompan. Ciężkie ścierwo na łonie skrępowało ruchy Kane'a na krótką, ale zgubną chwilę. Nie zdążył się go pozbyć i wilcze kły wpiły się w koński kark. Przeklinając, Kane uwolnił się od niego, zabłysnął miecz uderzający w szyję zwierzęcia — ale było za późno. Koń rżąc przeraźliwie zwałił się na ziemię w agonii. Jeździec wyskoczył z siodła i niczym kot wylądował na śniegu. Ułamek sekundy na odzyskanie równowagi — i już ostatnie trzy wilki były przy nim. Zastąpił się mieczem. Zwierzę usiłowało uskoczyć w bok, ale zrobiło to zbyt wolno. Długi miecz powalił je w chwili, gdy drugi wilk wskoczył na Kane'a z prawej a trzeci podnosił się z upadku. Nie zdążywszy wydobyć miecza Kane chwycił wilka gołą ręką w trakcie jego skoku. Złapał go za przednią łapę i cisnął nim na stronę, wyciągnął miecz ze ścierwa. Trzeci wilk był ranny i przystąpił do ataku nieco później. Uniesiony miecz trafił go w bok, gdy usiłował dosięgnąć ludzkiego gardła.

Tymczasem drugi wilk otrząsnął się, gdyż wylądował bez obrażeń na śniegu. Kane obrócił się gotów na spotkanie z ostatnim przeciwnikiem. W martwej rozpadlinie pozostali tylko oni. Pasowali się wzrokiem w śmiertelnym skupieniu. W ułamku sekundy ich umysły przeniknęły się we wzajemnym zrozumieniu i podziwie dla zimnego okrucieństwa i niezwykłej złości. Wilk poruszył się nieznacznie, jakby miał zawrócić i uciec, ale potężnym susem, gwałtownie i z wściekłością skoczył na człowieka. Uderzenie Kane'aomalże nie chybiło rozpędzonej szarej masy. Ale trafiło i pośród rzezi poruszał się już ostatni ze sfory.

Kane rozejrzał się czujnie dookoła. Żaden wilk nie poruszał się w rozpadlinie. Oddychał ciężko, usiłując sobie przypomnieć, jak długo trwała bitwa. Około pięciu minut — pomyślał — krew broczyła jeszcze z ran łosia.

Spojrzał na siebie. Aż dziw, że był względnie cały i zdrow. Miał tylko zadraśnięcie na prawym ramieniu, gdzie zahaczył go kłami ostatni wilk w wyskoku. Ubranie i twarz były zbrukane krwią i czyniły go podobnym do czerwonego upiora. Szybko zebrał i oczyścił swą broń. Musi dołączyć do pozostałych, nim inne wilki zaskoczą go podczas marszu. Zakładając, że resztę orszaku nie spotkał podobny los — pomyślał.

Wszystko wydawało się niewiarygodne. Domysły, że wilki zwabił odgłos polowania, a zapach krwi rozwścieczył je, mogły być prawdziwe. Ale nie w tym rzecz. Biorąc pod uwagę wydarzenia poprzedzające ten atak, nasuwała się myśl o zorganizowanym mordzie. Przez chwilę rozważał z niepokojem przyczyny, które mogły skłonić je do wydania walki człowiekowi. Przyszłość malowała się w czarnych barwach.

Rzemie przerwało tok jego myśli. Na szlaku stał przed nimi jeden z koni, który uciekł na samym początku ataku. Zwierzę nie ochłonęło jeszcze z przerażenia i nerwowo łypało ślepiami na mężczyznę. Pragnęło ludzkiego towarzystwa w tym zamrażającym lesie wzbudzającym trwogę, ale mogło się także łatwo spłoszyć. Kane przemówił do konia uspokajającym głosem, łagodnie zachęcając go, aby dał się podejść. Na szczęście, wiatr wiał mu prosto w twarz; gdyby koń zwietrzył zapach wilczej krwi — uciekłby z pewnością. Zwierzę przystąpiło jednak powoli wystarczająco blisko, aby Kane mógł złapać wodze po kilku zapierających dech próbach. Wskoczył na siodło i popuścił cugli strwożonej klaczy, galopując wzdłuż szlaku, którym niedawno przybyli.

W odległości kilku mil jakiś daleki okrzyk dobiegł uszu Kane'a — rozpaczliwe wezwanie pomocy. Szybko rozeznał się w swoim położeniu i postanowił sprawdzić. Wydawało mu się, że słyszy głos kobiety. Kane skierował pospiesznie konia ku miejscu, skąd dochodziły nawoływania, zachowując przy tym ostrożność. Ciekaw był dowiedzieć się, z czyjej one dobywały się piersi. Koń zwietrzył zapach, który był mu znany i zarżał trwożliwie. Kane także usiłował go wyczuć, ale cokolwiek by to nie było, odór wilka na jego odzieży był silniejszy. Z niechęci, z jaką koń posuwał się dalej, Kane wywnioskował, że to zapach wilków podrażnił jego nozdrza. Jeśli grasowały po okolicy, to prawdopodobnie one wystraszyły dziewczynę. Jednakże wydawało się nieprawdopodobne, aby mogła pozostać tak długo przy

życiu — o czym świadczyły nieludzkie nawoływania. Kane'owi znane były przypadki rycerskich oswobodzicieli, którzy zostali zwabieni na własną zgubę, podążając za nieodgadnionym wezwaniem pomocy.

Niemniej okrzyki wydały mu się znajome i snując domysły poganiał konia.

Dwa wilki powarkiwały wokół potężnego konarzu nisko pochylonej jodły. Okrakiem na gałęzi, ku której skierowane były ich pyski, siedziała Breenanin.

Kane dobył miecza, krzyknął i poszarżował na nie. Te rzuciły ostatnie spojrzenie na usidloną ludzką istotę i uciekły przed przybyszem. Zatrzymał konia pod drzewem i pomógł jej zejść z gałęzi. Wpadła mu w ramiona zanosząc się szlochem. Kane usiłował uzyskać odpowiedź na swoje pytania, ale Breenanin tylko obejmowała go płacząc. Wybełkotał więc coś, co miał nadzieję, że zabrzmi uspokajająco i okazując współczucie pozwolił jej wypłakać się.

Dojechali prawie do polany, na której wpadli na drugiego łosia, kiedy wreszcie Breenanin przestała łkać.

— A fe! Jak ty wyglądasz! Kąpałeś się we krwi łosia?!

— Co też, na Siedmiu Bezimiennych, ty tu robiłaś? Wydaje mi się, że przypominam sobie, jak zostawiliśmy cię na zamku dzisiaj rano!

— Chciałam brać udział w polowaniu, ale ojciec nie pozwoliłby mi z powodu tej opowieści o wilkach. Chciałam trochę wyrwać się stamtąd i zobaczyć, jak wygląda las po zamieci. Osiodłałam konia i pogalopowałam za wami. Odźwierny wypuścił mnie, ponieważ mam nad nim władzę, powiedziałam tylko, że wybieram się na przejażdżkę dookoła murów. Tylko, że chciałam dołączyć do was. No, a ojciec byłby zbyt zaprzętniety polowaniem, żeby mnie odsyłać z powrotem. I tak się tu znalazłam. Wtedy znienacka zaczęło ścigać mnie stado wilków. Wiedziałam, że nie mogę ich wyprzedzić w lesie, więc kiedy mój koń przebiegał pod tym niskim drzewem, zwołam biegu na tyle, by uchwycić się gałęzi i wyskoczyłam z siodła! — Pociągnęłam nosem. — Czuję się, jakby mi wyrwano ramiona, ale wiedziałam, że muszę się utrzymać. Jeden z nich o mało nie chwycił mnie za nogę, zanim zdążyłam wdrapać się poza ich zasięg. Większość podążyła za moim koniem. Zdaje się, że go dostały, ale nie widziałam tego, a tamte dwa zostały, czekając aż zejde. Więc krzyczałam, żywiąc nadzieję, że ktoś z orszaku usłyszy moje wołanie i przybędzie. No i to byłeś ty.

Kane był zaskoczony jej zimną krwią. Większość kobiet nie stać byłoby na to z powodu doznanego szoku, słabości albo tę-

poty. Niemniej Breenanin poradziła sobie i już nie dawała po sobie poznać strachu. To było niesamowite.

Skierował konia na polanę i zobaczył z ulgą, że Troylin i jego orszak czekali już tam. Nie było wśród nich strat ani rannych, za to mieli łosia. Wzniesli gromki okrzyk powitalny i raptem zaniemówili pod wrażeniem widoku zakrwawionego jeźdźca i jego zdobyczy.

- Kane! Co u diabła! — wykrztusił Troylin ze zdumieniem.
- Oto twoja córka — jest bezpieczna! — powiedział Kane.
- Reszta razem z łosiem została z tyłu. Nie dołączaj do nas!

V

OPOWIEŚCI NA ZIMOWY WIECZÓR

Uczta łowiecka była raczej wątpliwą przyjemnością. Takie wyprawy zwykle wiązały się z pewną dozą niebezpieczeństwa i często wznoszono toasty za poległych na polowaniu. Lecz pięć ciał to było za dużo. Mężczyźni popijali piwo z powagą, bynajmniej nie było im do śmiechu. Zamiast zwykłych hulanek — zbierali się w małe grupy, gdzie mówiło się o nieszczęśliwym wydarzeniu cichym i przejętym głosem. Zachowanie wilków było zdecydowanie nienaturalne, więc w ponurych ciemnościach sali jadalnej opowiadano sobie różne stare legendy.

Przy głównym stole, biesiadnicy także nie byli w pogodnym nastroju. Breenanin była wciąż wstrząśnięta swym przeżyciem i nie szukała, jak to w jej zwyczaju, zaczepki z ojcem. Baron tak się roztkliwiał nad jej ocaleniem, że zapomniał nawet ją ukarać. Miejsce Henderina świeciło pustką — jego dwaj strażnicy także byli nieobecni. Niespełna rozumu młodzieniec wysliznął się tego dnia swoim stróżom i zdołał im umknąć na kilka godzin, podczas których prowadzono rozpaczliwe poszukiwania. Wreszcie schwytano go, gdy przeskakiwał zewnętrzne obwarowania. Zachowywał się agresywnie i Lystric był zmuszony ująć go w dyby, aż atak minął. Sam Lystric wyglądał tak, jak zawsze. Długobrody astrolog z nadąsaniem przełykał swój posiłek, mierząc współbiesiadników ponurym wzrokiem.

Baron Troylin słuchał właśnie Kane'a, który powtarzał opowieść o masakrze w rozpadlinie. Prosił go o to już po raz trzeci i za każdym razem potrząsał głową z niedowierzaniem, czyniąc wciąż uwagi o niepokojącym zachowaniu się wilków. Usiłował wbić do swej słabej głowy szczegóły relacji, w złudnej nadziei, że

gdzieś między wierszami uda mu się znaleźć klucz do wszystkiego.

Dostrzegł Evingolisa, który siedział swym zwyczajem w półmroku i obserwował biesiadników obgryzając żeberko łosia.

— Pieśniarzu! — zawołał. — W tym miejscu jest bardziej ponuro, niż na pogrzebie. Niechaj zabrzmie muzyka, która by nas podniosła nieco na duchu!

Okrzyki aprobaty wzniosły się ze strony biesiadników.

Albinos ruszył się ze swego miejsca i podniósł lutnię. Przebiegając chwilę palcami po strunach spojrzął drwiąco na Kane'a i powiedział:

— A oto pieśń, którą być może nasz gość pozna!

Jego aksamitny głos zaintonował pieśń, a Kane uczynił pewien wysiłek, aby nie wzdrygnąć się. Pieśń barda była w archaicznym języku Askertiri, o którym Kane wątpił, ażeby w promieniu wielu dni drogi stąd był dla kogokolwiek zrozumiały! Była to kompozycja zmarłego od dawna i nie cieszącego się dobrą sławą poety Glema Ginecha z Askertiri, którego losy dla współczesnych mu były zagadką: czy był on poetą przemieniony w czarnoksiężnika, czy też odwrotnie?

W nieskończone zwierciadło mojego ducha
Sięgam wstecz w bezkresnych wieków źródło czy
w próżnię
I widzę kryształową formę, zwiewną panoramę.
Zapomnianą przez bogów, lecz bystrych źrenicą
okielznaną.

— Niech będzie coś w języku Carrasahl — warknął pijany żołdak.

Jakiś chory bóg, sędziwy w swym szaleństwie, wskrzesić
pragnął
Ród pośmiertnych męczenników, by z boskiego odzwier-
ciedlał
Błądny egocentryk, to zgubny postępek, artysty swawola
Śmiertelnym wizerunkiem, boskie ręce kalać
Zaślepien zapomniawszy, że z materią igrając
Opatrzysz swego bachora obłędem protoplasty
Wielce katastrofalny trud, cyklopowy wysiłek zadał sobie
By szyderczo śmiać mogli się jemu równi bogowie na wi-
dok idioty
Ziemie wszystkie przemierzając w szpetnym rękodzieła to-
warzystwie

Tak się pychą omotał kontent z siebie i swej marnej roboty

Kilku gburów zaczęło walić pięściami w stół, na znak niezadowolonia, wobec niezrozumiałej, tajemniczej pieśni.

Kreatury głupca tego gnane przez świat się cały pomnożyły
Aż się tym co byli pierwaj, za swe brednie naprzykrzyli
W swej miernocie poprzestając na robaka żywocie ku ich Boga radości
Co w bezrozumnej próżności lalek chciał dla krotochwil
Wtem on jeden — dosyć w kosmicznym pełzania gnoju bunt podnosi
Jam nie robak, ale szaleństwa rodem zmiją jego bóg ogłosi
Która w piekielnej swej wściekłości, stworzyciela kłamcą i oszczercą wieści
Bezmiennemu bogu nie odda więcej czci ten, kto panem własnego losu
I już ginie brat od ręki jego ciosu — najprzyjemniejsza z rozkoszy
Teraz rozpacz toczy obłąkany umysł sędziwego Boga
Skoro przeniknął pomyłkę przedmiotu swych umiłowań w sobie rozpoznając ich autora
Tego buntownika ów przeklął dając upust swej złości — skazując na wieczną tułaczkę w samotności
I opatrzył znamieniem ku potomnych przestrodze — oczami mordercy — Kane'a znamieniem.

— Niech diabli wezmą twą bladą cerę pieśniarzu! — ryknął pijany żołdak. — A teraz powiadam ci, zagraj coś, co my znamy!

Zatoczył się na nogach i wpadł na Evingolisa, przerywając starożytną pieśń.

— Wreszcie posłuchamy czego innego! — wylał swoje piwo prosto w twarz barda i wybuchnął śmiechem. Jego kompani wtórowali mu. Na twarz Evingolisa napłynęła biała fala złości. Odłożył na bok lutnię i przetarł palące go oczy. Wtedy ruchem tak prędkim, że prawie nieuchwytnym zamachnął się ramieniem i uderzył rozweselonego żołdaka w twarz. Niczym kopnięty przez konia, pijaczyna odskoczył w tył wprost na kamienną posadzkę. Nie podniósł się. Wszyscy zaniemówili — dotąd uważali albinosa za cherlaka.

— Sukinsyn! — wykrztusił Troylin z pełnym szacunku podzi-

wem. — Nie wszczynaj bójki, jeśli masz słabą głowę do piwa! Musiał uderzyć głową o podłogę. Niech ktoś go stąd zabierze!

Uśmiechając się szyderczo do zdumionej gromady, Evingolis zabrał swą lutnię i pewnym krokiem opuścił salę.

— Niechaj i tak będzie — wyrzekł baron. — Pozwala sobie na drwiny wobec ludzi, ale pewnego dnia przeciągnie strunę z tym swoim poczuciem wyższości — nie zniosą tego u pieśniarza. Może nie udać mu się następnym razem. — Odchrząknął. — Jednak to osobowość, trzeba mu to przyznać. Z pewnością potrafi śpiewać najdziwniejsze utwory, jakie kiedykolwiek słyszałem. Czy ten ostatni miał jakiś sens, Kane?

Kane odprowadził wzrokiem odchodzącego barda, ważąc coś w myślach.

— Zapewne tak — wyszeptał i oderwał się myślami od otoczenia. Oczy utkwił w tańczące płomienie i nikt nie mógł odgadnąć, co w nich widział.

VI

CZŁOWIEK ALE NIE CZŁOWIEK

Coś przylgnęło do muru, spoglądając z ciemności na pograżony we śnie zamek z cichą nienawiścią. Zimny wiatr gładził jego białe futro, a wraz z przyspieszonym oddechem unosiły się kłęby pary. Jednak stworzenie nie odczuwało zimna, jedynie przejmujący głód, który wymagał zaspokojenia. Swym nieludzkim wzrokiem przebiegł po zacisznych zabudowaniach, do których schodzili się żołdacy barona po służbie: pośród ciemności wszystkie mury rysowały się wyraźnie w różnych odcieniach od jasnobrunatnego po brąz. W tym domku myśliwskim znajdują się miękkie ludzkie ciała — nieowłosione, cherlawe ludzkie istoty pograżone beztrosko we śnie. Ich miękkie mięso jest ciepłe i krwiste. Stworzenie zadrżało na samą myśl o tym, co miało nastąpić. Jego wargi rozchyliły się i odsłoniły rozwarte szczęki.

Z mrocznej puszczy wynurzały się ciemne sylwetki, które biegnąc susami przez śnieg, niepostrzeżenie zbierały się po zewnętrznej stronie obwarowania, koło bramy. Potwór wyczuwał myślą ich obecność i witał je z radością. One także zwietryły obecność licznych ludzkich istot we wnętrzu zabudowań, a ich zwierzęce umysły ekscytowały się obrazem rzezi, przywołanym przez myśli ich przywódcy.

Już ponad trzydzieści zręcznych, szarych sylwetek oczekiwało

u bramy. Było ich wystarczająco dużo, zdecydowało stworzenie. Jeszcze raz umysł jego wszedł w kontakt ze swymi braćmi, wpajając im do głów plan, według którego mieli działać. Nie napotkał na żaden sprzeciw. On był przewodnikiem stada; musiały słuchać jego wezwania i wypełnić wszystkie polecenia. Tak było od czasu, kiedy pierwszy człowiek opuścił drzewa i przeciwstawił się Braterstwu swymi karłowatymi maczugami oraz kamieniami.

Bestia wyjęła kołki ze skobli i bez wysiłku rozchyliła bramę. Żarłoczne wilki wkroczyły na dziedziniec, prześlizgując się pod osłoną ciemności aż do zabudowań. Za tymi drzwiami sypiali ludzie, owinięci w skradzione futra i odurzeni spalonym mięsem i sfermentowanymi napojami roślinnymi. Przewodnik cicho zakradł się do drzwi, wiedząc, że nie są zaryglowane, po to, by ostatni hulacy mogli wtoczyć się do środka. Jeszcze raz wstrząsnął nim okropny skurcz głodu. Teraz!

Jego czerwone oczy płonęły żądzą krwi, a nieludzki, triumfalny uśmiech odsonił błyszczące rzędy kłów, w jakie uzbrojony był jego pokryty pianą pysk. Pochwycił za rygiel dłonią o straszliwych pazurach. Stworzenie pchnęło drzwi na oścież i wpadło do środka! Za nim krok w krok wysypało się stado!

Żołdacy zerwali się ze snu, zastając przeraźliwy widok rozdzierających kłów i skotłowanych ciał. Stworzenie ogłosiło przeciągłym skowytym swe zwycięstwo — przeszło tuzin mężczyzn na rzeź! Z ciemności stado rzuciło się wprost na pogrążonych we śnie, bezbronnych mężczyzn. Szare sylwetki szamotały się nad ofiarami w konwulsjach, warcząc i rozdzierając ciepłe mięso. Śmiertelne okrzyki skrajnej grozy i spazmy wypełniły myśliwski domek i rozptywały się w noc, zagłuszając ohydne odgłosy uczujących wilków.

Okrzyki zostały stłumione.

— Teraz! — warknął rozkazująco przywódca. — Teraz idźcie! Zanim zdołają nadejść pozostali! Czekają nas jeszcze więcej tego! Ale teraz już idźcie!

Wilki z niechęcią zabierały się do opuszczenia swych drgających ofiar. Prosić, by odeszły — to jak wystawić je na próbę. Ale przywódcy należy słuchać. Ociągając się, sfora zostawiła zdobywcę i skierowała swe szare pyski ku wyjściu.

Kilku mężczyzn powitało je na dziedzińcu — rozpaczliwe wzywanie pomocy umierających postawiło na nogi cały zamek. Stanęli w przerażeniu na widok umorusanej we krwi sfory, opuszczającej zabudowanie w ślad za przywódcą. Jego sylwetka ukazała się w bladym świetle księżyca — okropna hybryda wilka i człowieka. Pokryty był białym futrem i odznaczał się wyż-

szym wzrostem, aniżeli przeciętny człowiek, pod którego kształty się podszywał. Okrutne pazury sterczały u jego stóp i palców rąk; jego ramiona były długie, a nogi jakoś dziwnie koślawe. Nad roslymi barami malowało się oblicze demona: kudłata głowa ze spiczastymi uszami sterczącymi ku górze oraz długą szczęką — raczej wilczą aniżeli ludzką. Jego ostre kły ociekały krwią, a bestialskie oczy pobłyskiwały w świetle księżyca złowieszczo — wyrażając czerwoną nienawiść do człowieka.

Żołdacy chwycili za oręż, lecz było ich tylko czterech i wilki po prostu rozniosły ich, powalając swe ofiary na ziemię i rozrywając je na strzępy. Padło także kilka wilków, nim ludzie dokonali żywota. Stworzenie rzuciło się z wściekłością na giermka, którego ostrze przeszło na wskroś szarego mordercę. Wytrącając mężczyźnie broń, wilkołak poderwał go ku swej piersi w okropnym uścisku, zatapiając ostre niczym brzytwy kły w jego nieosłoniętej szyi. Następnie, odrzuciwszy na bok zwłoki, uciekł przez bramę wraz ze stadem, bo już gromada ludzi wychodziła z zamku z pochodniami i bronią. Wkrótce zniknęli w lesie.

Widok ohydnej rzezi ukazał się przybyłym z odsieczą. Ci, którzy przekraczali fatalny próg, wzdrygali się ze wstrętem na widok pokiereszowanych i okaleczonych zwłok. Na dziedzińcu jeden z mężczyzn jeszcze żył.

— Wilki! — wykrztusił z siebie ostatnim tchem. — Całymi tuzinami! To on je tu przyprowadził! To demon! Wilkołak! Wpuścił je tu do środka, aby nas zagryzły! To wilkołak! — Wyzionał ducha poruszając skrwawionymi ustami.

Kane myślał o słowach mężczyzny. Dopiero przybył na miejsce i nie mógł widzieć uciekających napastników. Służba i żołdacy, którzy spali na sali biesiadnej, pierwsi przybyli na dziedzińiec, ale nikt spośród nich nie zdał rzeczowej relacji z wydarzeń.

Całą gromadą odważyli się przestąpić trwożliwie bramę. W świetle pochodni widoczne były ślady wilczych łap. Ale zauważyli też tropy podobne do ludzkiej stopy. Nie mógł ich zostawić żaden człowiek, nawet boso, ponieważ były dziwacznie wykrzywione — pięty odcisnęły się głęboko w śniegu.

Odważyli się podążyć za niesamowitym tropem i odkryli, że ślady wilkołaka prowadzą w stronę lasu, później zakręcają i zdążają z powrotem na tyły zamku. Wszystko wskazywało na to, że stworzenie przesadziło wysoki mur. Po drugiej stronie śnieg był już zbyt rozdeptany, aby móc określić dokąd poszło. Ale na pewno wilkołak nie opuścił dziedzińca.

— Niech bogowie mają nas w opiece! — ktoś wykrzyknął. — Jeden spośród nas jest demonem!

JEDEN SPOŚRÓD NAS

Nie licząc kobiet, jest nas trzydziestu — mówił ponuro Troylin. — I jeden jest wilkołakiem! — stwierdził, patrząc na smutne zgromadzenie.

Było południe. Skwapliwe poszukiwania, nie natrafiły od świtu na żaden ślad bestii. Nikt nie opuścił zamku. Wilkołak musiał wciąż przebywać wewnątrz. Zamek był dość mały. Szukano już wszędzie. Stało się wtedy jasne, że demon, który dowodził ubiegłej nocy stadem, nie miał już postaci, którą opisywała służba. Możliwe było tylko jedno; stworzenie jest wilkołakiem — demonem zdolnym przybierać postać człowieka i mieszać się z ludźmi. Właśnie to teraz czynił.

— Jest kilka rodzajów istot zwanych potocznie wilkołakami — wyjaśnił Lystric. — Jedną z nich jest człowiek, który z nieokreślonych bliżej przyczyn może zamieniać się w wilka, bądź wilczą hybrydę. Jakieś złośliwe demony, upiory bądź różne duchy, również przybierają taką postać, choć jest to tylko jedna z możliwości przeobrażeń. — Rozgrzewał się w trakcie wykładu. — Jednak istnieje jeszcze inny rodzaj: wilk jest w stanie podszyc się pod ludzką istotę. Ten potwór zwany jest wówczas przywódcą stada i jest bardziej niebezpieczny od pozostałych. Podczas, gdy inne rodzaje cechuje samotnicze życie, on może skoordynować działanie wielu wilków, ażeby przeprowadzać swoje zamierzenia — zwykle zagładę ludzi. Oczywiście, jest wiele subtelnych odcieni i różnicowań. Nie wspominając o tych nieszkodliwych osobnikach, którzy nie będąc przy zdrowych zmysłach, wmawiają sobie, że są dzikimi zwierzętami.

— Na pewno masz na myśli swego podopiecznego Henderina. — Toli pochwycił wątek. — Przykro mi, siwobrody, nie damy się zwiść twoim wykładem! Wszyscy wiemy, że jego szaleństwo nie jest nieszkodliwe. Słyszeliśmy o tym biednym bękarciu, którego zabił w Carrasahl! Tak samo jak tutaj! — Opętanie przez demona — zdaje się, że tak to wtedy nazwałeś.

— Uważamy, że sprawy zaszły za daleko! Skorzystałeś już z szansy, by egzorcyzmować diabła! Wszystko, co potrafisz, to wałęsać się dookoła i wykorzystywać Henderina, żeby dostawać darmowe posiłki. No, na Thoema, dosyć mamy kręactw, czas byśmy wzięli się do dzieła.

— Co ty masz na myśli, mówiąc tak o moim synu?! — wykrzyknął baron waląc pięścią w stół.

Toli cofnął się nieco, ale czując poparcie swych towarzyszy — mówił dalej, choć mniej zaczętnym tonem.

— Tak mój panie, wszyscy rozumiemy, jak wiele znaczy dla ciebie ten chłopiec. Byliśmy ci zawsze wierni, choć wielu z nas mówiło, iż pożałujemy wspólnej z szaleńcem wyprawy do tej zapomnianej przez Boga krainy. Ale niech to cholera weźmie — nie mamy zamiaru tu siedzieć i dać się zabijać we śnie, tylko dlatego, iż twój syn jest zbyt wysokiego rodu, aby spłonąć za swe grzechy! — Wśród jego towarzyszy ze służby rozległy się przyzwalające pomruki.

— Zważcie — syknął Troylin — że zabicie arystokraty, nie ważne jak szalonego, przez kogoś z pospólstwa wywoła niechybną i straszną śmierć. I zapewniam was, że ktokolwiek odważy się podnieść rękę na mego syna, tego zetnę osobiście!

Tłum stawał się niebezpieczny. Toli odciął się.

— Dobrze, ale znajdują się jednak wśród nas tacy, którzy wezmą na siebie ryzyko — to lepsze, niż narażać się na zasypanie śniegiem ze stadem wilków pod murami i wilkołakiem w naszym gronie! A nie będzie kary, jeśli nie będzie świadków! — dodał znacząco.

— Co tu się dzieje! — głos Breenanin wzniosł się ponad straszliwe okrzyki. — Stoicie tu i naradzacie się, jak zabić kogoś, kto nigdy nie był powodem skargi dla żadnego z was. Jeszcze miesiąc temu dalibyście się zabić dla barona Troylina! Ileż to razy słyszałam, jak wieszowaliście sobie bycia na służbie u jednego z najbardziej wielkodusznych i łatwych w pożyciu szlachciców tej ziemi! A teraz — mówicie o zabiciu jego syna, jedynaka, którego zresztą wszyscy mieliście za wielkiego panicza, nim dotknęła go choroba! Myślicie także o zamordowaniu nas wszystkich! Wołałabym wpuścić wilki do środka — one okazałyby więcej wdzięczności! Nawet nie macie pewności, czy Henderin miał coś wspólnego z tymi zabójstwami!

Obie strony patrzyły na siebie nieufnie. To byli pospolicci ludzie: baron z prowincji i wielu krajan na służbie. Morderstwo i bunt były obce tym prostakom, ale lęk przed nieznanym i ohydne morderstwa zmieniły ich wszystkich. Służba musiała odzyskać koniecznie poczucie bezpieczeństwa; Troylin walczyłby do upadłego w obronie swego syna.

Kane pomyślał, że to nie jest jego bitwa, a wierności zwykle dochowywał tylko sobie; na razie nie zabierał głosu. Potrzebował gościnności barona, dopóki droga na południe nie stanie się przejezdna. Wtedy nie miałyby już dla niego znaczenia, jak tamci rozstrzygnęli spór. Na razie nie chciał być wmieszany w bunt,

a jednocześnie, jako cudzoziemiec nie byłby wygodnym świadkiem.

Toli obstawał przy swoim:

— No, jeśli Henderin nie jest wilkołakiem, to z pewnością wiele jest dowodów przeciwko niemu. Najpierw zabił tamtego strażnika niczym drapieżne zwierzę, no i wiadomo, że jest niespełna rozumu. Cały czas prosi o surowe mięso, wyje po nocach i dostaje ataków szału! Poza tym, kiedy orszak myśliwych został wczoraj zaatakowany, Henderin włóczył się po okolicy. Przyłapali go jak powracał z lasu. Aż dziw, że wilki napadają na zbrojny oddział, a w tym samym czasie bezbronny człowiek uchodzi cało. Jakby nie musiał się ich obawiać i wyszedł tam powiedzieć im, by nas zabiły! Gdzie podziewał się Henderin, kiedy nastąpiły kolejne ataki? Biednemu Bete dostało się w czasie zamieci. Tej gromadzie podróżnych także. A jaki los spotkał żołdaków zesłej nocy? A Henderin — och, on jest pod kluczem! O tym nas zapewniono. Rzecz w tym, że mamy na to jedynie słowo Lystrica! Ale ja nie mam zamiaru wierzyć temu chytremu, zgrzybiałemu starcowi!

Lystric wybuchnął potokiem przekleństw i prawie wzięli się za łby.

Kane skorzystał ze sposobności wyrażenia swojego zdania:

— To niezwykle ciekawe. — Baron spojrzał nań ze wstrętem, lecz on ciągnął dalej. — Pomówmy trochę o Lystricu. Rozumiem, że to jarmarczny czarodziej, który liznął tylko nauk okultystycznych — nie miał widoków na przyszłość, dopóki nie dostał tej funkcji. To nieco podejrzane, nie uważacie? Całkiem normalny, miły mężczyzna zaczyna zachowywać się jak wilk, a ten chytry, stary mag twierdzi, że wie jak go uzdrowić. To dla niego wymarzona sytuacja — lecz tylko do czasu, kiedy Henderin jest szalony. A jak rozumiem, to cała koncepcja kuracji Lystrica sprowadza się do pozostawienia mu swobody ruchów, do czasu gdy wyzdrowieje. Ciekawa metoda leczenia demonicznego opętania. Podsumujcie to wszystko, a okaże się, że Lystric dobrze się urządził. Są takie dziwne narkotyki i niezliczone zaklęcia, by normalny człowiek zaczął postępować jak wilk.

Lystric protestował i przeklinał, zbyt rozwścieczony, żeby odpowiedzieć. Pozostali słuchali w skupieniu.

— Więc Lystric wszystko sobie ułożył — ciągnął dalej Kane. — Co jakiś czas Henderin mu się wymyka i sprowadza jakieś nieszczęście, wobec czego stary sęp musi twierdzić, że trzymał go pod kluczem. Rozważmy inne możliwości. Być może on sam jest szalony i Henderin służy jako narzędzie zniszczenia was. Rozumiem, że zarówno on jak i baron nie mają powodu by da-

żyć się, sympatią. Astrolog potrafi żywić urazę. A jeśli już o tym mowa, Lystric mógłby sam być wilkołakiem. Zdarzało się już, że czarodziej utracił swe człowieczeństwo. Zrzucenie winy na Henderina — co za okazja, żeby zabić nas wszystkich złapanych w sidła.

— Więc poradź, co mamy robić? — spytał Toli, już nie tak pewny siebie.

— Zachowajcie spokój. Według mnie nie ma pewności, czy Henderin jest rzeczywiście wilkołakiem, a sam Lystric ma z tym wszystkim jakieś podejrzanе powiązania. Więc zamknijmy ich obu. Henderin już znajduje się pod kluczem. Wyznaczmy kilku ludzi, by pilnowali Lystrica. W ten sposób, obaj będą unieszkodliwieni i nikomu nie stanie się krzywda. Jeśli są niewinni, wypuścimy ich. Mamy nad nimi pieczę, więc nie musimy się ich obawiać. Bez buntu, bez niepotrzebnej walki. Może nagle zobaczymy nagłą poprawę u Henderina?

Tu przerwał. Słuchający okazywali przyzwolenie. To było rozsądne rozwiązanie, na które mogły przystać obie strony.

— Dobrze — podsumował Toli. — Niech tak będzie. Wybacz nam panie nasze groźby. Nikt nie zamierza wyrządzić krzywdy Henderinowi, jeśli jest niewinny. Ta cała sprawa wytrąciła nas wszystkich z równowagi. Jesteśmy w kiepskim położeniu, nie mamy pewności, czy obok nas stoi przyjaciel czy potwór. Straciliśmy głowę!

— Tak, rozumiem — zgodził się baron, choć nadal był zagniewany. — Połóżmy kres tym sporom, a ja puszczę sprawę w niepamięć. To pewne, że będziemy pilnować Lystrica i mego syna. Ale włos nie spadnie z głowy Henderina, póki ja tu jestem panem!

— W porządku — syknął Lystric. — Słuchałem tych bredni tak długo, jak mogłem to znieść. Obrażano i źle interpretowano moje racje, krytykowano moją metodę i to z powodu bandy ignoranckich pacholków. Posądzono mnie o wszelkie możliwe zbrodnie. Teraz będę uwięziony. W porządku! No, szybko! Widocznie nie mogę was powstrzymać, tchórzliwi głupcy. Zamknijcie mnie! Ale zapewniam was, że robicie źle. Czas pokaże, że jestem niewinny, tak samo, jak mój podopieczny. A kiedy będziecie strzegli mnie, prawdziwy wilkołak, zakładając, że nie jest to wytwór waszej wyobraźni — krążyć będzie bezkarnie po zamku. I nie zapominajcie, że tylko ja jestem osobą mogącą was przed nim uchronić. Któż inny posiada jakiegokolwiek o tym pojęcie? Dajcie mi czas i środki, by odszukać i zniszczyć tę bestię! Czy nie ostrzegałem was wcześniej o niebezpieczeństwie? Cóż, nikt nie słuchał, głupcy! Jesteście niewdzięcznymi bandziorami, wy

wszyscy! — Astrolog nie próbował pozyskać sympatii. — A teraz pozwólcie, że powiem wam coś innego. Myślałem wiele o tej sprawie i mam wiele wątpliwości. Czy to was dziwi? Ależ tak! To chytry, stary szarlatan, mówicie. Ba! Co mogą wiedzieć takie ignoranckie błazny, jak wy, o prawdziwym geniuszu. Wieśniacy, którzy oceniacie talent miarą posiadanego bogactwa. Mówię wam, że nie możecie wyobrazić sobie moich możliwości. Szkoda mych słów, choć usiłuję wam pomóc! Niemniej posłuchajcie! Przemyślcie sobie to, kiedy zarozumiałe wydawać będziecie sąd nad lepszymi od siebie. Kiedy to wszystko się zaczęło? Gdy człowiek zwany Kane'em przybył konno w nasze progi z zamieci! A co w ogóle o nim wiecie? Mieni się być najemnikiem. A wy wierzycie mu! Ja nie jestem prostakiem, zamieszkałym na odludziu chłopem od pług i wiem, co dzieje się na świecie! Opowiada się na świecie mnóstwo legend oraz okropnych historii o człowieku imieniem Kane i żadna z nich dobrze o nim nie świadczy. Co najwyżej — jest on zdradzieckim, morderczym tułaczem, który zyskał rozgłos w tyłu intrygach i tak ciemnych spiskach, o których nawet Thoemowi i jego demonom nigdy się nie śniło. Najgorzej zaś wspomina o nim legenda, według której jest nieśmiertelny, wyklęty przez bogów i skazany na włóczęgę po ziemi, a gdziekolwiek się zatrzyma, sieje spustoszenie!

— Najwyższy czas skończyć z tym — rzekł Kane. — No stary wygo! Mogłeś oczyścić się z zarzutów! A ty zacząłeś znieważać dobrych ludzi i chełpić się swymi wątpliwymi umiejętnościami. Jeśli chodzi o mroczne legendy i nonsensy, nie sądzę abyś mógł przedstawić nam którąkolwiek z nich. Przykro mi, siwobrody, ale dawne prawo — dzieł i rządź — jest starsze nawet od ciebie, a ci ludzie są zbyt rozważni, by nabrać się na twoje brednie. No więc jak, Toli? Czy dosyć już się od niego dowiedziałeś?

— W zupełności — zabrzmiała odpowiedź. — Chodźcie! Zaprowadźmy tę starą żmiję z powrotem do legowiska i dopilnujmy, by się nie ruszyła stamtąd! Może bałamucić uszy Henderina tą swoją paplaniną!

Bełkocząc wciąż, ale zachowując na przekór godność, Lystric pozwolił, by go wyprowadzili siłą w skrzydło pałacu, gdzie on i jego podopieczny zostali umieszczeni.

Napięta atmosfera na sali rozluźniła się. Wewnętrzny wróg został ujęty. Był dzień i można było przygotować plan na nadchodzącą noc. Ustawią straż, pozamykają drzwi i ułożą broń w pogotowiu. Ocaleni rozeszli się do swych zajęć.

— Dziękuję ci za to, co zrobiłeś — baron Troylin rzekł do Kane'a z zakłopotaniem. — Przez chwilę obawiałem się, że

przylączysz się do nich! Teraz widzę, że tylko kierowałeś nimi, grając na zwłokę.

— Miałem nadzieję, że nie posądzisz mnie o niewdzięczność, skoro skorzystałem z twojej gościny. To był najlepszy sposób, aby nimi manipulować.

— Zdajesz się być biegłym w tego rodzaju sprawach — odparł gospodarz. — Wygląda na to, iż posiadasz wiele zdolności, o wiele więcej niż zwykły najemnik.

— Nigdy nie podawałem się za zwykłego najemnika — odparł Kane z udaną obojętnością.

Troylin dyskretnie zakończył rozmowę. Niemniej zaczął walczyć w myślach oskarżenia astrologa. Teraz, kiedy zastanowił się, odkrył że imię Kane nie było mu obce. Sprawy polityczne wykraczające poza Carrasahl docierały do niego w postaci mglistych plotek. Był prostym człowiekiem, a jego troski obracały się zwykle wokół problemu wypełnienia czasu między świtem a zmierzchem jak największą ilością przyjemnych zajęć.

Teraz, kiedy już przywołał wspomnienia, zastanawiał się, czy nie było przypadkiem generała o imieniu Kane, zamieszanego w okropną aferę w Shapeli? Kane to istotnie nie było popularne imię. Myślał o czerwonowłosym cudzoziemcu o niesamowitych oczach.

VIII

SAM NA SAM

Wskazówki zegara wskazywały niemal północ. Większość mieszkańców zamku szukała wytchnienia we śnie, o ile pozwalały im na to nerwy. Nie wszyscy więc spali. Kilku mężczyzn pełniło wartę przed komnatami astrologa. Znajdowały się one w północno-zachodnim skrzydle zamku, na wieży oddalonej od bardziej uczęszczanych korytarzy. Stanowiło to dogodność dla obu jej lokatorów: Lystric mógł prowadzić w spokoju swe badania mając dobry widok na gwiazdy ze szczytu, a Henderin mógł wrzeszczeć i wyć nie niepokojąc innych. Otwarty taras na szczycie należał do Lystrica. Pod nim znajdował się pokój, w którym izolowano Henderina. Miał tylko jedno okratowane okno, z widokiem na dziedziniec o 75 stóp poniżej. Drzwi prowadzące z pokoju na schody do wieży były mocno i szczelnie zamknięte. Pod tym pokojem znajdowało się pomieszczenie wypełnione czarodziejskimi rekwizytami — pracownia Lystrica. Jeszcze ni-

żej, tam gdzie wieża łączyła się z główną częścią zamku, znajdowała się sypialnia astrologa. Ta komnata miała dwoje drzwi: jedne wychodziły na schody na szczyt wieży, drugie prowadziły na korytarz biegnący przez tę część zamku. Te ostatnie były zamknięte i na ich straży stało pięciu zbrojnych, strzegących astrologa. Nikt nie mógł dostać się do komnat na wieży, bądź opuścić ich inną drogą niż przez nie.

Kilku mężczyzn czuwała także w sali biesiadnej, gdzie płonął ogień. Uzgodniono, że dla zachowania ostrożności, część mężczyzn będzie czuwała w nocy i sprawdzała parami korytarze. Przydałoby się ich więcej, ale siły zamku zostały osłabione. Kane nie spał. Siedział przy ogniu popijając większe ilości piwa i słuchał melancholijnych melodii barda. Albinos siedział w cieniu, stroniąc jak zwykle od światła i dobywał ze swej lutni niezwykle dźwięki starej kompozycji.

To wyjątkowy człowiek – zadumał się Kane – a jego repertuar i aranżacje zdradzają niewiarygodną wręcz biegłość i wyczucie. Zastanawiał się, co mogło sprawić, że Evingolis zadowala się towarzystwem prostackiego Troylina – być może przeszłość pieśniarza nie pozwala mu na przebywanie na dworach bogatszych mecenasów z Południowych Krain.

Zapach delikatnych perfum i blask ognia w złotych włosach – to Breenanin usiadła koło niego. Utkwił mu w pamięci obraz jej twarzy widzianej podczas pierwszego spotkania. Minęło kilka dni od czasu, gdy omal nie zamarzył podczas zamieci. Czas nie miał znaczenia dla Kane'a. Czy to już wiek minął od tego ranka, gdy przemierzał północne równiny? Nie miało to znaczenia, bo należało do przeszłości. Obecne życie było tylko chwilą teraźniejszości wobec niezmiernego czasu. Przyprawiło go to o zawrót głowy.

– Nie mogłam zasnąć myśląc o tym wszystkim, więc zesłam na dół. Przy ogniu jest przytulniej – powiedziała Breenanin, czując potrzebę wyjaśnienia swego przybycia.

Kane poruszył się.

– To straszna noc. Wyczuwam dziwne napięcie, jak przed bitwą; śmierć jest blisko i ludzie boją się zasnąć.

– Może chcesz trochę piwa, aby ukoić myśli – zaproponował.

Kane wstał i nappełnił kielich. Przyjęła go z uśmiechem, wciąż nie wiedząc, jak się zachować. Był tak niezwykle... Tak ogromny i brutalny, a jednocześnie miły i mądry – nie tak jak te wyuczone skamieliny i fircyki na dworze. Ten wielki cudzoziemiec miał wiele tajemnic – nie mogła odgadnąć ani jego pochodzenia ani wieku. Wydawał się niezwykle powściągliwy i sa-

motny. Przyprawiało ją to o dreszcze niepokoju — jak niektóre pieśni Evingolisa.

— Nigdy nie mówisz po imieniu tym, do których się zwracasz — zauważyła.

— Nie sądzę, bym to robił — spojrzał na nią z uwagą.

— Breenanin — podszeptała łagodnie.

— Breenanin...

Siedzieli w milczeniu przy ogniu, wsłuchując się w słowa pieśni Evingolisa:

Ujrzałem ją, gdy w chłodnym świetle ciszy

Tchnęła jasnym iskry ciepłem

Swym wzrokiem, który noc krystaliczną zamrocył.

I wiedziałem, że wskresiła niemej miłości

Wieczny ogień, co w tę mroźną porę

Na wieczność zastygł w bursztynie.

Ale uczucia tego odwzajemnić nie mogłem

Ta chwila przeminęła pochłonięta zamiecią.

Daremnie przywołuję spośród mirażu tańczących

Echo zapomnianych wzruszeń —

Ten moment czasu wybrany

Wplątany w dzieje przepadł bezpowrotnie.

Jedynie popękane mury — świadectwo przeszłości

Wywołują wspomnienia — o chłodzie w moim sercu.

Echo głosu barda rozległo się wśród ciszy, gdy jego palce stłumiły drgania strun lutni. Cicho opuścił salę pozostawiając ich dwoje przy ogniu. W rogu komnaty kilku sennych mężczyzn grało w kości.

— Skąd on przybył?

Breenanin odwróciła się. Pieśń bardaomalże nie zahipnotyzowała jej.

— Przywędrował do nas minionego lata. Przybył z południa i nie opowiadał nigdy o swojej przeszłości. Pojawił się pewnego razu na dworze Carrasahl i przyjął opiekę ojca. Cieszyliśmy się, że został z nami, mimo, że inni proponowali mu więcej pieniędzy. Czasami wspomina o jakichś dalekich krajach, które zwiedził, a większości jego pieśni nie rozumiemy. Przypuszczam, że wędruje po świecie.

— Lubię przebywanie w nowym miejscu. W Carrasahl nie mieliśmy zbyt wielu okazji do podróży. Nie można zarządzać majątkiem z daleka — tak mawia mój ojciec. — Podróże są zbyt ryzykowne. Niemniej, wybraliśmy się kiedyś do Enselijos, by zobaczyć koronację Winstona.

Rozmawiali przez jakiś czas o wielu rzeczach, milknąc zgod-

nie przed przejściem do nowego tematu. W końcu Kane obejrzał się i spostrzegł, że Breenanin śpi. Nie chciał jej przeszkadzać, wiedząc jednocześnie, że nie może zostawić jej samej, gdy w ciemnościach czai się śmierć. Wziął ją na ręce i szerokimi schodami zaniósł na górę — do jej komnaty.

Breenanin przeciągnęła się we śnie i spała dalej. Na bladej twarzy rysował się półuśmiech, odsłaniający białe zęby. Była delikatna i ciepło owinięta w futro. Kane poczuł, że ogarnia go wzruszenie, którego nie odczuwał przez długie lata. Mogła to być równie dobrze miłość, ale nie pamiętał już tego uczucia.

Powróciwszy na salę, usadowił się znowu koło ognia. Ale urok tamtej chwili minął. Teraz ogarniał go dziwny niepokój; był wyczerpany siedzeniem w blasku płomieni i wspomnianiem. Jeszcze jeden kielich i Kane powstał, mówiąc tym, którzy jeszcze byli na sali, że obejdzie zamek, aby zobaczyć jak radzą sobie inni.

Korytarze tonęły w ciemnościach i w ciszy, którą mąciły tylko miękkie kroki Kane'a. Szedł wolno po zimnych kamieniach z dłonią opartą na rękojeści miecza, wpatrując się w każdy cień. W świetle pochodni korytarz zdawał się pogrążony w niemalże namacalnej atmosferze strachu — tak, jakby śmierć zakradała się z każdego zaułka. Duchy tych, co zostali okrutnie zamordowani, tańczyły wokół niego, śmiały się i szeptały — kpiąc z zarozumiałego mężczyzny, który sądził, że uniknie ich ohydneho losu. Wydawało mu się, że wprawiający w odrętwienie chłód zimowej nocy przenika przez kamienne ściany razem z ciemnością. Nieliczne pochodnie nie rozwiały mroku ani zimna. Delikatne poddmuchy, niczym wilgotny oddech duchów muskały włosy na szyi Kane'a. Odgłosy szybkiego stąpania docierające z tyłu, zmusiły go do obejrzenia się. Sprawdził ponownie, nie wiedząc, czy widział tylko swój cień, czy coś więcej... Na próżno wyteżał wzrok — niczego nie mógł dostrzec, nawet gdy zawrócił i przystanął na chwilę. Spostrzegł, że nerwy go poniosły i usiłował opanować się, wiedząc iż nie może sobie pozwolić na ospałość i odrętwienie w tę koszmarną noc. Nawet cień mógł kryć prawdziwe niebezpieczeństwo. Zatrzymał się nagle i rozejrzał uważnie. Następnie schylił się raptownie, dotykając ręką posadzki — chociaż wiedział już, że ta lśniąca plama to krew. W migotliwym świetle pochodni nie uszła jego uwagi strużka ciekąca po kamieniach, chociaż każdy inny na pewno by ją pominął. Z mieczem w dłoni podążył za lśniącym śladem. Prowadziła ona do drzwi pustej komnaty sypialnej. Kane pamiętał, jak podczas rannych poszukiwań sprawdził ten pokój. Niczego tu nie znalazł, więc zaryglowano drzwi. Były zamknięte nadal, ale nie na

rygiel i znajdowały się na nich ślady krwi. Kane namyślał się: mógł *sprowadzić posiłki, ale jeśli stworzenie było wewnątrz, zdążyłoby uciec i zaszyć się wśród swoich współników. Mógł wezwać pomoc, ale wilkołak spostrzegłby jego obecność — a jeśli posiłki nie nadejdą? Atak przez zaskoczenie wydał mu się najlepszym rozwiązaniem. Kane, nie bez podstawy, ufał straszliwej mocy swej uzbrojonej dłoni. Kopnął w drzwi i rzucił się do środka, kreśląc w pokoju srebrzysty łuk mieczem. Obrócił się błyskawicznie i nie dostrzegając bezpośredniego zagrożenia, odskoczył przywierając do ściany plecami. Rozejrzał się dobrze po pokoju. Pośród nieco zakurzonych mebli nie było wilkołaka, ale z pewnością tu przebywał. Cztery trupy nie weszły tu raczej o własnych siłach. Były to zwłoki czterech strażników. Zostali przed chwilą zamordowani — domyślił się Kane — gdyż ciała były jeszcze ciepłe. Mieli skręcony kark, ostatni zaś rozdarte gardło. Poczyniono niezręczne próby, by zatamować upływ krwi, ale krwotok był dosyć obfity. Ta bestia była przebiegła — zauważył Kane. — Zamordowała cichaczem tych ludzi, rzucając się prawdopodobnie na nich od tyłu, kiedy mijali drzwi. Usiłowała zabijać bez rozlewu krwi, aby nie dowiedziano się o tym. Widocznie wilkołak zmuszony był użyć kłów przeciwko jednemu z nich i nie zdołał uniknąć pozostawienia śladów.

Problem w tym, co dalej robić. Jaki związek zachodzi pomiędzy obecnością wilkołaka a Lystricem i Henderinem? Kane postanowił to sprawdzić. Znajdował się akurat w pobliżu tego skrzydła zamku, a tamci strażnicy stanowili najbliższą pomoc na jaką mógł liczyć. Kiedy rozezna się tam w sytuacji i wszystko będzie w porządku — to razem z nimi zapoluje na wilkołaka, nim ten się spostrzeże, że jego obecność została wykryta.

Jak tylko mógł najszybciej, ostrożnie posuwał się w kierunku wieży. Pięciu strażników siedziało wciąż na przeciwko drzwi. — Dobrze, że nic się im nie stało — pomyślał z ulgą.

Pierwsze, co go zaniepokoiło, to fakt, że nie został zatrzymany. Chyba nie wszyscy spali!

Istotnie — nie spali. Byli martwi. Nie było najmniejszego śladu na żadnym z ciał, przynajmniej nic nie dało się zauważyć na pierwszy rzut oka. Siedzieli pod drzwiami w naturalnych pozycjach. Prawdopodobnie tak ich ułożono — domyślił się Kane. Jeden z nich miał pod ręką dzban z piwem, który ostrożnie powąchał. Nie rozpoznał żadnej trucizny, ale przecież nie wszystkie można wyczuć. Tak tylko można było wyjaśnić te pięć bezkrwawych zgonów.

Kane był zdecydowany na wszystko. Powstał i ruszył w kierunku drzwi. Była tam dziura, przez którą strażnicy obserwowali

li wewnątrz. Nie dostrzegł przez nią niczego podejrzanego w środku. Kopnął drzwi i wpadł do pokoju. Lystric leżał w kącie pod stołem. Kane obejrzał astrologa. Cokolwiek ten zamierzał — nie ucieknie się już do swoich sztuczek. Jego głowa była cała, ale oddzielona od tułowia. Żarłoczne kły porozrywały skórę i mięso na ramionach i nogach. Widocznie wilkołak nie był w stanie opanować przez całą noc swego straszego głodu.

Ze wstrętem Kane odsunął się od ciała. Być może wyjaśnienie zagadki czekało na niego w komnacie na górze — w pokoju Henderina. Skierował się ku schodom prowadzącym na wieżę. Drzwi do nich były zamknięte. Kane ostrożnie otworzył je. Jego czujność obudził odgłos przypominający drapanie pazurami po kamieniu. Kane odwrócił swoją uwagę od drzwi i spojrzął do tyłu.

Wilkołak patrzył nań złowrogo, a jego krwawe kły szczękały obrzydliwie! Stłumione warknięcie wydobyło się z jego gardła. Był wyższy od Kane'a, a pod jego białym futrem rysowały się żelazne mięśnie.

Zanim Kane zorientował się — kreatura rzuciła się na niego! Zamachnął się z całej siły i wymierzył cios. Gdyby to był śmiertelnik — miecz wszedłby aż po rękojeść. Ale od ramienia wilkołaka ostrze odbiło się jak od żelaza. Rozległ się tylko głuchy odgłos — nic nie wskazywało na to, że cios dotarł do celu. Nawet nie powstrzymał on jego natarcia! Ból przeszył ramię Kane'a, a miecz odbił się od bestii i wypadł z dłoni.

Chwilę po tym stwór napadł na niego. Z paszczy ciekła mu ślina; cuchnący oddech wionął na twarz Kane'a, a pazury mierzyły w gardło! Człowiek nie mógł nawet uskoczyć! Silne pchnięcie warczącego stworzenia powaliło go na posadzkę. Uderzył głową o kamienie i stracił przytomność, kiedy płonące oczy zaczęły wwiercać mu się w umysł.

Gdy ją odzyskał — dźwignął się na kolana. Ból głowy przypominał go o koszarne męki, a krew napływała mu do ust. Otrząsnął się, zdając sobie jednoczesne sprawę, że był jeszcze wśród żywych. Nie znajdował się już przy schodach na wieży, ale leżał obok ciała Lystrica i z obrzydzeniem stwierdził, że krew, którą miał w ustach nie była jego! Dławiąc się wypuł ją i stanął niepewnie na nogach. Zatoczył się w stronę drzwi.

— Ani kroku dalej! Możesz być pewien, że cię przebiję, jeśli to zrobisz!

Kane zauważył dopiero, że Evingolis stoi na progu i kieruje kuszę w jego serce.

Z korytarza dochodziły odgłosy kroków i okrzyki.

— No, Kane! — powiedział bard z podziwem. Mądrze to ob-

myśliłeś. Przyznam, że nigdy nie podejrzewałem, że jesteś wilkołakiem.⁴

IX

SYTUACJA BEZ WYJŚCIA

Aż dziw, że nie zabili go od razu! Cięty język Kane'a z pewnością mu pomógł, ale myślał, że więcej zawdzięcza Breenanin. Baron nie zapomniał, że Kane ocalił jej życie.

Evingolis przedstawił swoją wersję wydarzeń:

— Pierwszy zgon nastąpił tuż przed pojawieniem się Kane'a. Dalej — zwiad natknął się na zmasakrowany orszak, który znalazł się z nim w zamieci. Podczas polowania to on właśnie cudem ocalał z rzezi przeprowadzonej przez wilki. A kiedy wilkołak i jego stado wymordowało żołdaków w domku myśliwskim, Kane zjawił się dopiero po upływie dłuższego czasu. W końcu — ostatni atak miał miejsce, gdy kręcił się po korytarzach. A kiedy go odnalazłem — był skulony obok ciała starego astrologa, który mniemał, że ma obciążające go dowody.

Jednak nie zabili go. Za to wtrącili do celi w podziemiach. Masywne drzwi zasunięto grubą kłodą i ustawiono trzech strażników. Przez niewielkie okratowane okienko Troylin obserwował więźnia.

— Wiesz, że popełniasz błąd! — powiedział Kane.

— Podejrzewam, że zabiłeś starego, bo wiedziałeś, że cię zde-maskuje. I pomyśleć, że omal nie przekonałeś mnie o jego winie! Biedny człowiek!

— Niech diabli porwą twój zakuty łeb! Ten stary kretyń nie potrafił do trzech zliczyć! Mówiłem ci, że znalazłem go w tym stanie, zanim wilkołak ogłuszył mnie przy schodach!

— Ciekawe, dlaczego cię nie zabił, tylko zadał sobie trud, aby przeciągnąć cię przez pokój? Nie wiedziałem, że to stworzenie może być aż tak powściągliwe!

Kane bliski wściekłości wałną pięścią w ścianę.

— Może to potwór, ale jest przebiegły jak człowiek! Wygląda na to, że chciał was zwieść i zrzucić winę na mnie!

Troylin zachnął się z niedowierzaniem.

— Jeśli chodzi o podstęp — chciałeś, byśmy myśleli, że to mój syn uciekł i dokonał rzezi. Tylko, że dopadliśmy cię, zanim zdążyłeś dokonać dzieła. Żołądek dopominał się o swoje prawa,

co? Najpierw trzeba było wypuścić Henderina – wtedy uwierzylibyśmy, że to on!

– Tak bardzo zależy ci na oczyszczeniu z zarzutów swego syna, żeś gotów wykorzystać tę okazję! Dlaczego nie byłem wilkołakiem, kiedy Evingolis mnie odnalazł? Dlaczego nie zabiłem go i nie uciekłem?! Dlaczego mam pękniętą czaszkę?! Dlaczego miałbym ratować twoją córkę przed wilkami?!

– No, przyznam, że kilka szczegółów się nie zgadza. To jedyny powód, że jeszcze żyjesz, choć jeśli będziesz chciał uciec – zabiją cię. Większość z moich ludzi chce cię szybko widzieć na stosie. Zdaje mi się jednak, że mam u ciebie dług wdzięczności. Będziemy cię więc obserwować przez kilka dni i Henderina także – aby się upewnić. Jeśli bestia uderzy znowu – przeproszę za to, że ci nie uwierzyłem.

– Prawdopodobnie nie będzie już ciebie wśród żywych, a mnie także! A co będzie, jeśli się nic nie wydarzy?

Baron pokręcił głową z powagą.

– Myślę, że wtedy nie pozostanie nam nic innego, jak przygotować dla ciebie stos!

Gdy baron oddalał się, Kane przeklął doprowadzony do wściekłości.

Te chamy mogą to zrobić; Troylin uważałby syna za oczyszczonego z zarzutów. Tymczasem, jeśli wilkołak jest nadal na wolności – w co nie wątpię – to idioci pozwolą mu się wałęsać bez przeszkód! Usiadł pełen niesmaku. Czuł ostry ból w potłuczonej głowie.

Po kilku godzinach spędzonych na oglądaniu robaków pełzających w sianie, Kane usłyszał zażarte warczenie. Przywarł do drzwi i ujrzał rozdrażnionego jednego z wyźłów barona, który warował u drzwi.

– Niech panienka się nie zbliża! On musi pilnować! Odgryzie waszą ładną stópkę, jeśli tylko się zbliżycie – już taki jest!

– Więc zabierz go! Chcę porozmawiać z więźniem!

To była Breenanin.

– Baron zakazał rozmawiać z nim. Tylko ojciec panienki może to robić!

Zabrzęczało kilka monet.

– No, myślę, że możecie zobaczyć go przez chwilę. Ale tylko przez chwilę! Nie chcę mieć kłopotów. Do nogi, Hycel! Bądź grzeczny! Dobry piesek... Przestań warczeć! Słuchać!

Przestraszona twarz Breenanin ukazała się w otworze.

– Oh, Kane! – wykrzyknęła. – Myślałam, że cię zabijają!

– Ja też tak myślałem! – odparł. – Dziękuję za to, że wstawiłaś się za mną u ojca. Obawiam się, że oni są przekonani.

że jestem wilkołakiem i jak nie patrzeć – czeka mnie niewesoła przyszłość.

Spojrzała na niego z zakłopotaniem.

– No, ja wiem, że ty nim nie jesteś. Przecież uratowałeś mi życie. I w ogóle – jesteś zbyt uprzejmy jak na potwora.

Kane wzdrygnął się. Nikt nie nazywał go uprzejmym od wielu lat.

– Oni się myślą, wiem o tym! Zrozumieją to. Ale przekonają się o tym dopiero jak wilkołak ponownie zabije...!

Zamilkła, nie wiedząc dlaczego jest tak okropna, że życzy śmierci innym. Ale jeśli stworzenie pozostanie w ukryciu, wtedy mężczyzna, którego kocha zginie strasznie w płomieniach.

– Wilkołak nadal jest tutaj – możesz być tego pewna. Ale czy szybko uderzy? Któż to może wiedzieć! Wiem, że żelazem nie można go zranić! Powinienem rozłupać go mieczem na dwoje, a broń odskoczyła, nie robiąc na nim śladu. Kiedy mnie powalił – niesamowite wrażenie – czułem, że był z krwi i kości, a jednak ostrze odbiło się, jakby uderzyło w kamień. Ramię zdrętwiało mi od ciosu. Wiadomo, że niewiele rzeczy może go zabić. Oczywiście – z wyjątkiem potężnych czarów i ognia. Z metali – podobno jedynie srebro może go uśmiercić. Można go też pokonać w bezpośrednim starciu. Znam przypadki, kiedy bestia została rozszarpana w starciu o pierwszeństwo w stadzie. Jeśli masz coś ze srebra, co nadaje się na broń – lepiej noś to przy sobie. Gdyby tylko baron mnie posłuchał i kazał odlać trochę srebrnych grotów na strzały i oszczepy!

– Postaram się, by to zrobiono – odpowiedziała rozsądnie Breenanin. Mam mały sztylet ze srebrnym ostrzem, który zabieram ze sobą na polowania. Nie jest to prawdziwa broń, raczej damskie cacko, ale będę go trzymała pod poduszką.

Strażnik odkasznął nerwowo.

– Ej tam, panienko! Jeśli baron was tu zastanie, na pewno mi się oberwie! Kończcie szybko!

– Muszę już uciekać! – powiedziała z niepokojem. – Zobaczę, co można zdziałać. Nie trać nadziei!

Odsunęła się od otworu w drzwiach i opuściła mroczne podziemia.

Kane wsłuchał się w warczenie psa i naszyły go czarne myśli. Gdzie znajdowała się Breenanin podczas śmiertelnych ataków? Myślał o jej niespodziewanej obecności na gałęzi podczas polowania i daremnym trudzie wilków, aby ją dosięgnąć. Wzdrygnął się na samą myśl o tym. Przecież to tylko domysły i zbieg okoliczności. Wszyscy mogą być wilkołakami, jeśli się tylko dobrze zastano-

wić. Troylin, Evingolis, Toli, czy ktoś ze służby. A ona jest tylko kobietą! Ale czy kobieta-wilkołak nie jest równie niebezpieczna?

X

ATAK POD OSŁONĄ NOCY

Gdy księżyc w pełni oświetlił kraty okna, Henderin wiedział, że nadszedł czas. Większość mebli w jego komnacie została porozbijana i zniszczona w trakcie napadów szału. Powstał z legowiska w kącie i chyłkiem poruszał się po zaśmieconym pokoju. Z jego gardła wydobywały się powarkiwania. Czasami myślenie sprawiało mu kłopot, ale teraz wiedział dobrze co ma robić. Opanowało go podniecenie, jego zmysły obudziły się na myśl o tym, co miało nastąpić tej nocy. Rozradowany zakradał się i podsłuchiwał strażników. Czekał na przygodę ze zniecierpliwieniem.

Wokół nastała cisza. Henderin wśliznął się na okno i popatrzył w dół na dziedziniec. Nie było żywej duszy. Upewniwszy się, że nikt go nie słyszy, wyciągnął kamień przy framudze okiennej, stękając z wysiłku. Jak się spodziewał, wysunął się z wnęki, gdy tynk osłabił się. Położył go na podłodze i zajął się żelaznymi kratami. Z łatwością wydobyl je, gdy kamień nie stanowił przeszkody. Droga stała przed nim otworem. Przechylił się więc i ostrożnie opuścił po murze. Teraz miał trudne zadanie do wykonania, ale wiedział, że podoła mu. Ściana zbudowana była z ociosanych kamieni, których krawędzie wystawały nierówno. Trzeba było ostrożnie czepiać się nich, gdyż nie stanowiły mocnego oparcia. Ale nie sprawiało to trudności takiemu silnemu i zręcznemu mężczyźnie, jakim był Henderin — aby zejść po nich na dziedziniec. Poza tym Henderin był pod wpływem tajemnych rozkazów, których nie wolno mu było lekceważyć. Musiał podołać!

Wyjąc z radości zeskoczył kilka stóp w dół. To była doskonała ucieczka! Zaśmiał się cicho i zniknął w mroku. Miał jeszcze dużo do zrobienia...

Zamek pogrążony był w niespokojnym śnie. Śmierć nieubłaganie zebrała żniwo wśród jego mieszkańców. Pomimo, że potwór był uwięziony i pod pilną strażą, dręczyły ich złe przeczucia. Jednak człowiek musi odpoczywać. Pokładali więc nadzieję w ryglach i straży, i spali na nic nie zważając. Ostatni spośród załogi zamku — biedni i godni pożalowania.

Tymczasem śmierć nie zauważona przez ludzi zbliżała się cichymi korytarzami. Nikt nie dostrzegł, jak coś ukradkiem prze-

biegło zasypany śniegiem dziedziniec i w cieniu bramy cichaczem wyciągnęło z niej zasuwę. Odźwierny Gregig ostatni raz spał na swoim stanowisku. Spoglądał teraz martwymi oczami na długie szare sylwetki, przemykające przez szparę w nie kończącym się korowodzie śmierci. Nikt też nie widział, jak spragnione krwi stado podążyło bezszelestnie za przywódcą wprost do małych, niestrzeżonych drzwi na tyłach zamku.

Pazury stukwały lekko o zakurzone kamienie, gdy mordercza sfora stąpała miękko po pustych korytarzach, wdzierając się do zamku.

Psy myśliwskie pierwsze zwęszyły obecność swych naturalnych wrogów i przywitały stado zajadłym warczeniem. Wtedy mężczyźni, którzy cierpliwie pełnili straż przed pustą komnatą Henderina — ujrzeli śmierć na własne oczy.

Wzdrygnęli się i na chwilę krew zakrzepła im w żyłach z przerażenia na widok wyjących wilków i ich strasznego przywódcy. Zaraz potem uderzyli na alarm i chwycili za broń, gotowi walczyć do ostatniej kropli krwi. Okrzyki zwyciężanych żołdaków zły się w jazgot ze skowytom nacierającej fali szarej wściekłości. Walczących pochłonęła chaotyczna walka.

Tym razem wilki nie miały do czynienia z bezbronnymi, śpiącymi i zaskoczonymi ofiarami. Służba była dobrze uzbrojona, a beznadziejność sytuacji doprowadziła ludzi do ostateczności. Ociekające krwią miecze cięły jednego kudłatego diabła za drugim. Psy walczyły zażarcie u boku swych panów, również gotowe na wszystko. Kamienie posadzki stały się śliskie od posoki, a po korytarzach rozległo się wycie i okrzyki agonii.

Wilków było dużo, a ich wódz czynił je niezwycięzonymi. Z niewiarygodną wściekłością wilkołak rzucił się pomiędzy walczących i pochwyił jednego z mężczyzn. Nie zważając na rozpaczliwe próby obrony, rzucił swą biedną ofiarą o posadzkę, rozbijając jej głowę. Tymczasem psy padły już pod lawiną kłów, a pozostałych przy życiu ludzi opanowało stado. Broczyli krwią z okrutnych ran, niemniej nie przestawali ciąć swych oprawców, nawet kiedy ci powalili ich na ziemię.

Na korytarzu nastała cisza. Obok poległych mężczyzn wiły się w agonii liczne wilki. Przez chwilę stado nie ruszało się, sapiąc i zlizując krew z pomordowanych. Już słychać było odgłosy spieszącej odsieczy. Wilkołak wydał przenikliwy skowyt — na znak triumfu — i pokierował stadem przez korytarze, by odnaleźć resztę tych zatrwożonych głupców, cherlaków, którzy dumni byli z tego, że są ludźmi.

Echo rozgrywającej się u góry walki dotarło do podziemnej

celi, gdzie był więziony Kane. Strażnicy przerwali grę w kości i nasłuchiwali.

— Co tam się, do diabła, dzieje? — wykrztusił zdumiony Toli.

Kane też chciałby wiedzieć — podszedł do otworu w drzwiach.

Ktoś otworzył z impetem drzwi do podziemia i krzyknął:

— Chodźcie szybko! Wilki! Pełno ich na zamku! Zagryzą nas wszystkich!

Strażnicy skoczyli na równe nogi, chwytając broń w panice wbiegli na schody wychodzące z podziemia — aby pomóc swym kompanom.

— Poczekajcie! Poczekajcie, do cholery! — na próżno wzywał Kane. — Wracajcie i otwórzcie drzwi! Wracajcie! Troylin wam wszystkim pokaże! — Wykrzyknął w chwili, kiedy ostatni mężczyzna zniknął na stopniach.

Bez rezultatu. Czy to z powodu paniki, czy też nieufności, zostawili go tam. Wyobraził sobie ze zgrozą bitwę na piętrach zamku i dający się przewidzieć jej wynik. Nachmurzył się na myśl o tym, że będzie bezsilny, gdy wilkołak i jego stado zjedzie, aby zagryść więźnia w celi.

Kane usiłował obejrzeć przez otwór w drzwiach zawiasy. Wiedział, że są zaryglowane ciężką drewnianą kłodą. Zauważył to, gdy był tu wpychany. Z tego co zapamiętał, żelazne haki, na których leżała kłoda, wbite były w ścianę — to był słaby punkt tej konstrukcji. Rzucił się więc z rozbiegu na drzwi od strony, gdzie nie było zawiasów całą siłą swej masy kości i mięśni.

Odrzuciło go i potłukł się dotkliwie. Drzwi były mocne. Ponowił próbę i jeszcze raz sprawdził, czy obluźował się żelazny hak. Wydawało mu się, że tak. Jednak uderzenia przyprawiły go o ból. Kane zmienił sposób — rzucił się w wyskoku i pchnął nogą w miejsce, gdzie kłoda z drugiej strony drzwi osadzała się na haku. Z zadziwianiem, jak na jego budowę, zręcznością i miękkością wyładował po uderzeniu. Znał niezwykłą siłę takiego kopnięcia — jeśli umiejętnie się je wykonało. Uderzył jeszcze. I jeszcze raz. Zaciśnął zęby i z determinacją kopał bez wytchnienia. Żelazny hak musiał puścić prędzej czy później. Ale nie wiadomo, ile jeszcze miał na to czasu.

Breenanin przysłuchiwała się ze zgrozą odgłosom walki, dochodzących ją zza drzwi komnaty. Obudziły ją hałasy: okrzyki obrońców zamku, wściekłe warczenie wilków, śmiertelne okrzyki ludzi i skowyt. Na próżno usiłowała wyobrazić sobie bitwę. Sceny, jakie wytworzyły się w jej wyobraźni, wprawiły ją w histerię.

Posłuchała rad Kane'a i miała przy sobie srebrny sztylecik – śmieszny drobiazg na wilkołaka. Zabezpieczyła srebrnym łańcuchem rygle i okiennice. Nie łudziła się co do ich skuteczności, ale to wszystko, co mogła zrobić.

Wydawało jej się, że bitwa przesunęła się do innego skrzydła zamku, ponieważ odgłosy stawały się coraz bardziej przytłumione. Co też tam się dzieje? – zastanawiała się. Odgadła, że stado wilków napadło na zamek.

Nagle zwróciły jej uwagę odgłosy szurania po kamieniach za oknem. Z przerażeniem Breenanin patrzyła na okiennice. Z zewnątrz dochodziły teraz wyraźne odgłosy drapania, jakby ktoś wspinał się na parapet. Mocne uderzenie próbowało roztrzaskać okiennice. Sparaliżowana ze strachu Breenanin wpatrywała się w rygiel. Jeszcze jedno uderzenie! I jeszcze następne! Ze złowrogim trzaskiem rygiel złamał się, a srebrny łańcuch odskoczył w bok.

A z rozbitego okna wskoczył do komnaty – Henderin!

Jej brat był strasznie zmieniony. Jego palce były porozdzierane na opuszkach i krwawiły; ubranie miał rozchełstane. Z ruchliwych oczu wyzierał obłęd, a zęby zgrzytnęły dziko. Po twarzy spływała krew i plamiła ramiona. Zeskoczył chyłkiem na podłogę, wydając dziwaczne odgłosy ni to warczenia, ni to rechotu. Zmierzał ku siostrze.

Otrząsając się z odrętwienia Breenanin krzyknęła przerażona i skoczyła w kierunku drzwi. Henderin powłókł się za nią, śliniąc się i wydając dziwaczne odgłosy.

W panice zmagala się z rygłem u drzwi, szarpiąc srebrny łańcuch. Z trudem łapiąc oddech, wreszcie otworzyła je.

I znalazła się twarzą w twarz ze splamionym krwią koszmarnym potworem!

Wyjąc ohydnie z radości wilkołak skoczył ze zbrukanego krwią korytarza prosto do komnaty. Postanowił dać stadu swobodę żeru – załoga zamku uszczupliła się już bowiem znacznie. Jego czerwone oczy płonęły niewypowiedzianą żądzą. Śliniąc się, demon wyciągnął pazury do przedmiotu swego pożądania. Breenanin wycofała się w przerażeniu, a ohydny kolos kroczył wprost do niej. Zapomniała o Henderinie w obliczu tej nieludzkiej bestii, splamionej krwią na białej sierści. Zbliżał się – pewien swej zdobyczy. Wilkołak zapędził ją w kąt sypialni. Stwór stanął, wydobywając z gardzieli niby-warczenie; piekielny rechot. Kłapał okrutnymi kłami w długim pysku, rozkoszując się trwogą swej ofiary. Kobieta rozpaczliwie cisnęła w niego wazą, ale naczynie potłukło się tylko o jego kosmatą pierś, nie zatrzymując go wcale. Pewnym krokiem zbliżał się do niej.

Nie! — zabrzmiał głos, który zdawał się być pozbawiony ludzkiego brzmienia. Nie! Nie możesz jej ruszyć! Powiedziałeś, że będzie moja!

Wilkołak zatrzymał się i rzucił wzdorliwe warknięcie przez ramię w kierunku wściekłego Henderina. Szalony młodzieniec szczykał zębami i skakał w ataku szału. Nie zwracając uwagi na pieniacego się pomyleńca, potwór zdecydował się zaspokoić swój czarny apetyt.

Znienacka Henderin rzucił się na niego od tyłu! Wbijając się kolanami w krzyż potwora — powalił go na ziemię. Kiedy się przewracali — zacisnął ręce na jego szyi i wbił zęby w kark. Zaskoczony atakiem człowieka, wilkołak padł na podłogę razem z nim, łądując u stóp Breenanin. Henderin był roslym mężczyzną, a szalona wściekłość zdwoiła jego siły. Wykorzystując chwilową przewagę, przycisnął pysk stworzenia do kamieni, jednocześnie miażdżąc mu plecy kolanami.

Rozwścieczony bólem wilkołak chwycił swego przeciwnika pazurami. Z wysiłkiem oderwał wijącego się młodzieńca od swych pleców i rzucił nim o podłogę. Henderin upadł ciężko, ale podniósł się wystarczająco szybko, by nie dać się zaskoczyć przez natarcie potwora. Przez chwilę wymieniali miażdżące ciosy, żaden z nich nie mógł pochwycić przeciwnika. Wtem zwarli się w śmiertelnej nienawiści, gryząc się i drapiąc. Splątane ciała na posadzce walczyły zawzięcie.

Breenanin pokonała strach i pobiegła do swego łóża. Nie widziała nawet możliwości ucieczki, gdyż wilkołak zdawał się być wszechobecny. Jednak pamiętała o wskazówkach Kane'a i w pośpiechu rozgarniała pościel. Otucha wstąpiła w nią, kiedy zacisnęła drobną dłoń na zimnej rękojeści sztyletu. Wyciągnęła broń o białym, lśniącym ostrzu i odwróciła się ku zapaśnikom.

Henderin nie miał szans, choć z początku zaskoczenie przechyliło szalę zwycięstwa na jego korzyść. Tylko siła szaleństwa i szczęście sprawiły, że mógł stawić czoła tak długo. Ale teraz wilkołak siedział okrakiem na jego miotającym się ciele. Zmiażdżył mu śmiertelnym uściskiem klatkę piersiową. Gdy żebra trzasnęły, Henderin już nie bronił się i potwór wbił mu ostre kły w szyję. Wieczne ciemności ogarnęły jego niespokojny umysł. Muskul i kości śmiertelnika nie mogły podołać wilkołakowi. Bestia, ulegając żądzy krwi, łapczywie liżała strumień sączący się z rozdartego gardła ofiary.

Breenanin, korzystając z okazji, rzuciła się na wilkołaka. Uniosła wysoko gibkie ramię i z desperacką siłą wymierzyła srebrne ostrze w ramię. Wyczuł niebezpieczeństwo w ostatniej

chwili i usiłował uniknąć ciosu — ale było już za późno! Tylko nieznacznie mijając celu, sztylet wśliznął się rozdzierając nie-ludzkie mięso wzdłuż łopatki.

Gdyby nóż był tak długi, jak zwykła broń, cios byłby śmiertelny. Wilkołak, odczuwając nieznaną dotąd ból zawył i zerwał się. Breenanin ledwo zdołała utrzymać ściśniętą kurczowo rękę, kiedy wilkołak oswobodził się i odskoczył.

Futro zbroczone było jego krwią. Odwrócił się, by stawić czoła małemu napastnikowi. Z oczu patrzyła mu wściekłość i pojawił się w nich strach, kiedy dziewczyna uniosła sztylet, by uderzyć ponownie. Stworzenie strasznie bało się srebrnej broni, która mogła okazać się dla niego śmiertelna. Poczucie zagrożenia własnego życia nie było mu dotąd znane. Wściekły i bezsilny, wilkołak postanowił zmienić sposób uderzenia. Warcząc, wycofał się w kierunku okna i zeskoczył na dziedziniec z wysokości 30 stóp.

Breenanin jęcząc osunęła się na podłogę. To było ohydne i wstrząsające. Nic nie docierało do jej świadomości, oprócz tego że żarłoczny potwór odszedł. Z wysiłkiem doczołgała się do rozszarpanego ciała brata. Pomyślała, że to właśnie jego interwencja uchroniła ją od okrutnej śmierci, a potem zdała sobie sprawę, że przypłacił to życiem.

Zapominając o popełnionych przez Henderina zbrodniach pochyliła się nad zmasakrowanymi zwłokami. Odwrócona tyłem do drzwi nie słyszała kroków.

Zataczając się, wpadł do pokoju Troylin, otumaniony cierpieniem i trwogą; za nim dwoje ze służby, osłabieni licznymi ranami. Baron spojrzął na córkę, której ciałem wstrząsały spazmy. Zdawał się jej nie poznawać.

— Wszyscy zabici! — wykrztusił. — Wszyscy martwi, z wyjątkiem nas. Wilkołak wyważył nawet drzwi komnaty, w której ukrywały się kobiety i puścił na nie swą sforę.

Nikt nie słuchał barona, a on sam mówił i poruszał się jak w transie, beznamiętnie relacjonując wydarzenia ostatnich trzydziestu minut.

— Wszędzie wilki! Okropne, krwiożercze kły! Rzuciły się na nas ze wszystkich stron. Rozrywały wszystkich na strzępy! Jakoś je powstrzymaliśmy... Kiedy opuścił je przywódca — poradziliśmy sobie z resztą. Zabijaliśmy diabły. Cholernie ich dużo! W końcu jednak przestały nacierać! Nie wiem, czy wszystkie zginęły, czy tylko uciekły. Zostaliśmy tylko my...

Urwał i spojrzął na córkę. Powoli zamglony obraz stawał się ostrzejszy. Ujrzał Breenanin na zboczonym krwią ciele... Świa-

domość powróciła. Przeklął straszliwie, przypadł do syna odtrącając ją.

— Henderin! — krzyknął z rozpaczą. — Henderin! Synu mój! Ty także! Nie!

Pogrążył się w rozpacz.

Breenanin ocknęła się. Wrócił ojciec ze swymi ludźmi. Była z nimi bezpieczna. Niepewnym ruchem położyła dłoń na ramieniu szlochającego ojca.

— Ojcze! — szepnęła.

Podniósł głowę i spojrzał na jej twarz. W jego oczach żarzyła się iskra szaleństwa. Jego umysł nawykł do zwykłych spraw. Groza ostatnich nocy była ponad jego siły. Był świadkiem mordczej rzezi, która obróciła jego bezpieczny świat w krwawą ruinę. Śmierć pochłonęła wszystko. A teraz widział okaleczone ciało syna, najdroższej mu istoty. Groza i boleść zaćmiły mu umysł.

Wbił wzrok w zbrukaną krew suknię swej córki. Breenanin drgnęła, widząc jego obłąkane spojrzenie.

— Ty! — wykrzyknął baron. — Ty!

Chwycił srebrny sztylet, który wypuściła z ręki i zerwał się.

— Ty go zabiłaś! Ty jesteś wilkołakiem! Ty ich wszystkich zabiłaś!

Przeklinając, Troylin pochwycił swą córkę. Srebrne ostrze błysnęło, opadając. Stłumiony śmiertelny okrzyk. Bezwładne ciało dziewczyny pada na posadzkę. Białe dłonie zacisnęły się w skurczu agonii.

Spojrzał na jej ciało. Śmierć złagodziła rysy jej twarzy; nie malował się na niej ani ból, ani strach. Krew ciekła z rany pod lewą piersią, barwiąc jej białą suknię. Przed oczami migotały mu na przemian czwień i biel. Całe noce i dni bieli i czerwieni. Tyle czerwieni, tyle bieli. Kiedy to się skończy?

Za jego plecami rozległ się groźny warkot, przerywając kalejdoskop myśli. Troylin podbiegł do drzwi — wilkołak powrócił!

Jeden z rycerzy umierał z rozdartym gardłem. Śmierć zaskoczyła ich, gdy przyglądali się obłędowi swego pana. Troylin partrył z niedowierzaniem jak wilkołak odpierał wściekle razy zadawane przez drugiego ze służby i jak łapami uzbrojonymi w pazury przetrzącił mu kark. Bestia była nieśmiertelna!

W końcu skierowała się w stronę barona, a jej przekrwione oczy płonęły wściekłością. Bezbronny Troylin wycofywał się. W zbiegających wargach pojawiła się ślina. Żalodne błagania dobywały się z jego ust. Potwór nacierał jednak z wyciągniętymi ramionami, powarkując. Baron cofając się dotknął plecami poręczy balkonu. Nie mógł już uciekać dalej...

Wilkołak rzucił się na niego z wyciem! Uniósł krzyczącego mężczyznę nad głowę i cisnął nim na salę biesiadną. Z chrzęstem ciało uderzyło o podłogę o krok od miejsca, w którym zwykł zasiadać do stołu.

Ostatni przebłysk świadomości. Znał już odpowiedź na swoje pytanie — to śmierć kończy wszystko...

Drzwi celi ustąpiły pod kolejnym kopnięciem — uparty żelazny hak uwolnił się w końcu ze swego jarzma. Dysząc z wysiłku Kane wydostał się z celi. Wokół było cicho. Nie dostrzegł też żadnego wilka. Ostrożnie wybiegł po schodach z podziemia i wyjrzał na korytarz. Tutaj także nic. Chyłkiem przemknął po korytarzu, zmierzając do głównych komnat zamku. Nie miał broni i poruszał się z największą ostrożnością z obawy przed spotkaniem z wilkami. Ale natrafiał jedynie na stopy martwych ciał, świadczących o zażartej walce.

Czułnie pochwycił jakiś dźwięk. Uśmiechnął się ponuro, kiedy go rozpoznał; bezszelestnie podążył na salę jadalną — tam skąd pochodził.

Evingolis siedział swym zwyczajem w kącie, wygrywając na lutni rzewne pieśni. W półmroku sali pasowali się wzrokiem.

Kane przerwał milczenie.

— A więc to byłeś ty! A ja, głupi, nie domyśliłem się! Podejrzałem zbyt wiele osób.

Bard nie przerywając gry, przywitał go ruchem dłoni.

— Rzadko się domyślają, a jeśli już — to jest już za późno. Nikt nie spodziewa się, że pieśniarz może zabijać. Zawsze tak jest. Zastawiam sidła, a kiedy giną jeden po drugim, pozostali przy życiu walczą między sobą ze strachu i nieufności. Człowiek który traci ufność — jest zgubiony. Nikt nie podejrzewa pieśniarza — zawsze się tak kończy.

— Zawsze?

— Tak, tylko czasami zmieniają się szczegóły. Wędruję w nowe strony i kręcę się po okolicy. Zbieram informacje tak długo, aż znajdę coś odpowiedniego. Jeśli opanuję jakąś grupę ludzi, ja i moje stado wywieramy naszą zemstę. A to dlatego, że człowiek odważył się opuścić swe mieszkanie na drzewie i rzucić wyzwanie Braterstwu! Człowiek, jego broń i zdradzieckie psy! Człowiek usiłuje wypędzić Braterstwo na pustkowiu! Człowiek, który mieni swe duszne miasta cywilizacją, a życie w nich stawia ponad dziką wolność stada.

Być może nadejdzie dzień, w którym człowiek i jego miasta zostaną zgładzeni zarazą, klęską głodu albo wojnami. A wtedy

Braterstwo znów będzie się cieszyć wolnością! Ale do tego czasu wybieram kogoś z tej pysznej sfory, kto płaci za bezczelność całego rodzaju! Oni poznają gniew braterstwa.

W tym przypadku sprawa była raczej prosta. Dowiedziałem się w Carrasahl, że baron Troylin ma wygodny dla moich planów majątek na odludziu. Trzeba było tylko jakoś zwabić go tutaj, ale nie sprawiło mi to kłopotu. Rzuciłem urok na jego syna, który uczynił go szalonym. Sprawy przybrały krwawy obrót i ludzie tak się wzburzyli, że baron został zmuszony oddalić się. I tak Henderin stał się kozłem ofiarnym, a co więcej — miałem go w swojej mocy. Był mi potrzebny — tak samo jak Lystric. Ten głupiec brał za dobrą monetę wszystkie podsunęte przeze mnie dobre rady. Łącznie z tą, by zabrać tu Henderina.

Miałem więc dużą grupę odizolowanych ludzi. Następnie wywołując zamieć — uniemożliwiłem im ucieczkę. Dwukrotnie chciałem cię dopaść tamtej nocy, ale wymknąłeś mi się. Potem tylko uszczuplałem ich siły, do czasu, zanim stał się możliwy otwarty atak. Moja strategia powinna być teraz dla ciebie oczywista. Urządziłem zasadzkę na polowaniu, nagoniłem drugiego losia i sprawiłem, że orszak myśliwych rozdzielił się. Powinieneś był wtedy zginąć, ale cię nie doceniłem.

— Wiesz więc kim jestem i czym się zajmuję — powiedział Kane.

Pieśniarz uśmiechnął się.

— Tak, wiem. Domyślałem się też niejednego. Wędrowałem i wielokrotnie nasze drogi się krzyżowały. Wygląda na to, że żaden z nas nie może nigdzie zagrzać miejsca. No i słyszałem wiele historii o człowieku zwanym Kane. Stare legendy i sagi nie zapomniały o tobie. Rozpoznał cię nawet ten stary głupiec Lystric.

Zaśmiał się znowu.

— Nawet widziałem cię kiedyś, będzie ze sto lat temu — w starej Lynortis. Zdaje mi się, że planowałeś dostać się na dwór. Wkrótce potem miasto zostało zajęte — powiadano, że ktoś zdradził. Zaniepokoiłem się trochę twoją obecnością, gdy dowiedziałem się kim jesteś. Ale potem postanowiłem cię użyć w moich knowaniach. Wpadłeś mi w pazury zeszłej nocy w komnacie Lystrica. Oszczędziłem cię wówczas, by wyglądało na to, że to ty jesteś wilkołakiem. Gdyby cię wtedy zabili, jak sobie tego życzyłem — miałbym teraz kłopot z głową, a pozostali zaniechaliby straży. Niestety — pozostawili cię przy życiu, rozpraszając swe siły na pilnowanie ciebie i Henderina. Zresztą i tak byli nieostrożni.

Dziś w nocy zorganizowałem ucieczkę Henderina, by pomógł on mi od wewnątrz, gdy wprowadzałem stado na zamek. Ok-

zało się, że było to zbędne. Odźwierny zginął z ręki Henderina podczas sgu. Później, gdy spostrzegłem, że srebro broni dostępu do komnaty Breenanin, rozkazałem mu wyprowadzić ją stamtąd. Głupiec! Zaatakował mnie wtedy! Musiałem go zabić wcześniej niż to sobie zaplanowałem. Ta dziewczka miała jednak charakter! Zadrasnęła mnie srebrnym sztyletem, więc wyskoczyłem, aby zająć ich od tyłu. Tymczasem Troylin zdołał odpędzić wilki podczas mojej nieobecności. Ale dopadłem go w komnacie i zabiłem.

Kane oglądał ogrom zniszczenia i zmasakrowane ciała na podłodze.

— A Breenanin? — zapytał. — Zdziwił się sobie, że zatroszczył się o nią.

Evingolis warknął.

— Ten wariat zabił ją własnymi rękami! Głupiec, chyba przypisał jej moje czyny! Zrobił to jej własnym sztyletem!

Kane wzdrygnął się.

— Rozzłościł mnie do żywego — miałem ciekawsze plany wobec tej dziewczyny. Jest jeszcze ciepła i myślę, że mógłbym się trochę nią zabawić, ale to już nie to samo, gdy jej serce pompuje strumień krwi wprost do pyska!

Znowu zaśmiał się, oblizując swe wargi długim jęzorem na myśl o tych rozkoszach.

— Czy uraziłem cię Kane? Wiem, że nie jesteś świętoszkiem. Ty chyba naprawdę coś do niej czułeś. Miłość? Nawet nie wiesz co to znaczy! Kane, potępiony i skazany na wieczną tułaczkę, miałby się kochać w śmiertelnicy? Kwiat, który zwiędnie nim się spostrzeżesz... Całe jej życie to twój jeden dzień. Chyba już nieraz widziałeś, jak to się kończy. Nie — ja wiem co to było! Ona ciebie kochała, a ty byłeś zauroczony tym, że ktoś ofiarowuje ci prawdziwe uczucie, a nie jak zwykle — boi się ciebie i nienawidzi. I byłeś tak wzruszony, że usiłowałeś odkryć miłość w tym kamieniu, który nazywasz sercem. Kane, chyba nie jesteś takim głupcem, by rozczulać się nad sobą.

Kane spoglądał milcząco na kpiącego z niego pieśniarza. W jego oczach świeciły zimne płomienie śmierci.

— O ironio losu! Oto stoimy tu obaj w korytarzu śmierci. Ludzcy tylko z pozoru — bowiem wszystkich ludzi zabrała śmierć. Kane, jesteśmy do siebie podobni! Dwaj nieśmiertelni, zostawiający za sobą tylko śmierć i zniszczenie. Zastanawiam się... Łajdak, którego zabiłem pierwszego w zamieci przepowiedział, że ze śniegów wyłoni się człowiek nie-człowiek przynoszący śmierć. Zastanawiam się, którego z nas miał na myśli?

Albinos odłożył na bok lutnię, wciąż uśmiechając się wilczym sposobem.

— No, Kane. Była to niezwykle ciekawa gra. Zrobiłeś co mogłeś — podziwiam cię i może nawet rozumiem. Spośród ludzi ty jeden wzbudzasz mój szacunek. Będę miał naprawdę wielką przyjemność mogąc cię zabić.

Zerwał się.

Kane był przygotowany na metamorfozę, ale nie spodziewał się jej tak szybko. Na chwilę zataryły się tylko kontury stojącego przed nim barda i już warczący kolos o białym futrze rzucił się na niego.

Kane przeklął. Zaprzepaściło to szansę na atak w chwili, gdy stworzenie będzie w bólach transformacji. Mężczyzna chwycił stół i rzucił nim w bestię z nadzwyczajną siłą. Przygnieciony wilkołak zaplątał się w rozłamanym blacie. Korzystając z okazji — Kane rzucił się ku schodom na końcu korytarza. Srebrny sztylet powinien tkwić w zimnym ciele Breenanin. Wiedział, że ma małe szanse, ale chciałby zdobyć skuteczną broń na niego.

Wbiegł po schodach. Wyjąc wściekle Evingolis zrzucił z siebie szczątki mebla i pobiegł za nim. Kane miał nieznaczną przewagę i gnał ile sił. Jednak nim dotarł na górę, okropny przeciwnik prawie go dopadł. Złowrogie pazury musnęły jego but. Kane usiłował dobiec do pokoju Breenanin, ale w połowie drogi zrozumiał, że nie zdąży. Jeszcze kilka kroków, a wilkołak go dopadnie.

Człowiek niespodziewanie wyskoczył i obracając się w powietrzu wymierzył cios nogą w pierś bestii. Moc uderzenia odtrąciła ją tak, że aż warknęła z zaskoczenia i bólu. Sztylet był nieosiągalny — pozostał mu tylko pojedynk wręcz. Wobec demona człowiek był bezsilny. Niemniej Kane nie był zwykłym człowiekiem.

Kiedy wilkołak ocknął się po niespodziewanym ciosie — Kane rzucił się na niego! Rozpędziwszy się, z brutalną siłą wytrącił Evingolisa z równowagi, odrzucając na krawędź schodów. Zwarcie w śmiertelnym uścisku człowiek i demon potoczyli się w dół. Spadając uderzali o stopnie i ścianę. Przelamując barierkę, splątani wojownicy spadli 10 stóp w dół na kamienną podłogę. Kane wyrwał się warczącemu wilkołakowi na chwilę przed uderzeniem o posadzkę. Kosmate ciało Evingolisa uchroniło go przed upadkiem. Poturlał się w bok tylko z kilkoma siniakami. Zrywając się, rzucił się na wroga. Upadek mógłby zmiażdżyć człowieka, ale Evingolisa tylko rozwścieczył. Jednak zachwiał się ogłuszony upadkiem. Jeszcze raz Kane natarł na wilkołaka, korzystając z jego chwilowej utraty równowagi. Potwór uchylił

się, chwycił Kane'a i cisnął nim o podłogę. Upadając, zdążył zauważyć z której strony naciera Evingolis. Z niezwykłą szybkością wspiął nogi w górę zapierając się plecami o posadzkę i trafił skaczącą bestię w pierś. Jej ciało poszybowało w powietrzu i upadło ciężko. Mimo to, podniosła się niemal równocześnie z Kane'em. Obaj czyhali, aż przeciwnik się odsłoni. Evingolis był zdumiony siłą człowieka i jego zręcznością, którą odczuł na własnej skórze. Skurczony z bólu krwawił z rany zadanej sztyltem osłabiającej go nieco. Wpadł w ściekłość. Musi zabić tego człowieka, wydrzeć z niego życie! Kane również był mocno potłuczony — opanowała go żądza krwi. Nie odczuwał strachu, jedynie ogromne pragnienie mordy. Każdy z nich w milczeniu czekał na błąd przeciwnika.

Niecierpliwość pchnęła Evingolisa do ataku. Wilkołak skoczył, dufając w swą nadnaturalną siłę i ostre pazury. Kane wiedział, że nie może się cofnąć. Jeszcze raz uczynił coś niespodziewanego — schylając się wyzwolił się z zaciskających się na nim ramion i chwycił bestię za gardło.

Mocne dłonie Kane'a zacisnęły się na kudłatej szyi, odpychając z wysiłkiem wyszczerzone kły. Evingolis zaś objął ramionami ciało przeciwnika, usiłując złamać mu kręgosłup śmiertelnym uściskiem. Przetaczali się po mrocznym korytarzu niczym dwa mocujące się olbrzymy. Uścisk na żebrach stawał się dla Kane'a nie do wytrzymania, ale napiął mięśnie, aby oprzeć się okropnej mocy wilkołaka. Jednocześnie wzmocnił uścisk na gardle demona. Bestii zabrakło powietrza — zacisnęła miazdzący chwyt na klatce piersiowej Kane'a chcąc złamać mu żebra. Rana na plecach krępowiała mu jednak ruchy jednego ramienia, a nigdy przedtem nie spotkał człowieka o takiej sile. Na próżno kłapał szczękami nie dosięgając Kane'a. Rozdzierał pazurami jego skórę na plecach, wciąż nie mogąc złapać tchu. Poczul jak żebra człowieka trzeszczą.

Kane czuł straszny ból, ale nie zwalniał uścisku. Wiedział, że ma jedyną szansę — przetrzymać swego przeciwnika. Nagle wilkołak rozluźnił chwyt. Chciał za wszelką cenę zaczerpnąć powietrza. Z ściekłością usiłował oderwać ręce Kane'a od szyi, zgrzytając zębami i raniąc pazurami.

Wtedy upadli na podłogę i Kane unieruchomił wilkołaka. Siedząc mu na piersiach — przytrzymał jego łapy kolanami. Bestia wiała się w konwulsjach.

Po chwili wysiłki wilkołaka osłabły. Jego nieludzka żywotność kończyła się w starciu z silniejszą. Szklanym wzrokiem spojrzął w zimne niebieskie oczy Kane'a i wyczytał w nich śmierć. Słychać było tylko głuchy chrzęst łamanych kręgow.

— Tak zginął Abel — syknął Kane, rozluźniając powoli palce.

Kane zauważył, że ciało Evingolisa przeobraża się w wilka. Trzymał teraz zwierzę za przetrącony kark.

EPILOG

Był śnieżny ranek. Kane przeszukał zabudowania i odnalazł swego konia. Klacz uchroniła się przed wilkami. Była wypoczęta i dobrze odżywiona. Z trudem osiodłał ją i objuczył zapasami na dalszą drogę. Dokuczały mu złamane żebra, stłuczenia i głębokie rozdarcia. Opatrzył je najlepiej jak mógł i dosiadł konia. Nie chciał bowiem zostawać dłużej w martwym zamku.

Obejrzał się i zobaczył płomień wysoko unoszące się nad zamkiem. Zawaliła się jeszcze jedna kondygnacja i wkrótce pozostaną tylko nagie kamienne mury. Przed odjazdem Kane podpalił zamek, czyniąc z niego ogromny stos pogrzebowy dla ludzi i wilków. Płomień pożerały także ciało Evingolisa — nigdy więcej nie zastawi już sideł ani nie zaśpiewa swych pieśni.

Gdzieś w poździe leżał jeszcze ktoś, czyjego głosu już nie usłyszy. Kane owinął ją w białe futro i ułożył delikatnie, jak do snu, zanim podłożył ogień. Być może Breenanin znalazła ukojenie, jeśli śmierć mogła je dać. Kane miał go nigdy nie zaznać. Przez chwilę jednak poczuł dzięki niej drgnienie w sercu, którego wcześniej nigdy nie doświadczył. Nie potrafił wydobyć z pamięci nazwy tego uczucia.

Kane'a przeszył dreszcz. I nagle poczuł jak było okropnie zimno.

Spiął konia i podążył na południe. Kopyta wierzchowca zapadały się w śniegu.